N. 10. WARSZAWA d. 26 Lutego (9 Marca) 1872 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

ODCZYT PUBLICZNY

PRZEZ

J. K. Gregorowicza

NA KORZYŚĆ

WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA

DOBROCZYNNOŚCI.

odbyty dnia 28 Stycznia b. r.

(Dalszy ciąg.)

Wolność w duchu! czarodziejskie to słowo o cudownéj mocy. Wolność w duchu, to poczucie Boga w nieśmiertelności własnego jestestwa, krzepi w trwodze, pociesza w nieszczęściu, godzi z obecnością, a w przyszłość ziemską osłoniętą wielką tajemnicą, dozwala patrzeć ze swobodą niczem nie zamąconą. Wolność w duchu, to matka własnéj godności i wolności wszystkich innych, do jakich ludzkość ma prawo. Wyrób zmysłowości przez spotęgowanie ostateczne uczuć stworzył niewolę, chrześcijaństwo przez potęgowanie myśli wprost w przeciwnym dziale kierunku i w miarę nadawania jéj przewagi nad uczuciami, a tem samem wytwarzania w masie ludzkości godności własnéj i wolności w duchu, niszczyło niewolę bujnie na gruzach rzymskiego państwa rozpostartą.

Według Varrona Rzym pierwiastkowo nie znał niewolnictwa i jeszcze w sześćset blisko lat po założeniu, grunta w nim uprawiane były przez właścicieli i wolnych wyrobników. Dopiero ustawiczne wojny dążące do ujarzmienia całego znanego świata czyli wytworzenia najwyższéj ziemskiéj potęgi, na wzór sił rządzących przyrodą, sprawiły powstanie niewolnictwa ze wszystkiemi cechami pęt, jakiemi duch ludzkości ówczasowéj był skrępowany. Chrześcijaństwo pierwsze powstało przeciw téj ohydnéj instytucji, ale przewaga uczuć w wyznawcach jego choć naruszona prawdami ewangelicznemi, tak jeszcze była wielką, że hołdując formie ze szkodą myśli, głos wydobyty z piersi jednostek, przebrzmiał bez wpływu żadnego. Srogość niewoli zmniejszała się, ale niewolnictwo trwało i jeszcze w XII wieku bula wydana przez Aleksandra III papieża, przemawiająca za emancypacją niewolników, była więcéj napomnieniem jak rozkazem wzywającym do posłuszeństwa.

Z postępem czasu w Europie niewola przemieniła się w poddaństwo, z obowiązkami wielce przypominającemi jego początek, i to trwało bez przerwy. aż do końca zeszłego wieku. Do zniesienia go zupełnego pierwszy popęd dała Francja w r. 1789—za jéj przykładem poszły Niemcy, ale w wyższéj Luzacji Saskiéj zniesione dopiero zostało w r. 1832—w Austrji w r. 1848 — a w Rossji w r. 1862. Mimo tych reform przerabiających do gruntu społeczność europejską, niewola jakby na świadectwo potęgi uczuć rządzących całą jeszcze ludzkością, zmieniona w Europie na łagodniejsze znacznie poddaństwo, zaraz pojawiła się w nowo odkrytéj Ameryce ze wszystkiemi cechami największego barbarzyństwa, z czego na wniosek cnotliwego Las Casas powstał równie zgubny handel murzynami z Afryki. Część północna Stanów Zjednoczonych po utworzeniu związku zniosła wolność handlu murzynami. W roku 1814 za inicjatywą Anglii i Francji, rządy państw europejskich związały się przymierzem przeciw temu ohydnemu handlarstwu, niewolnictwo jednak w południowéj części Stanów przetrwało aż do dni naszych, i dopiero z powodzi krwi ludzkiéj, z pod miljona trupów, powstał murzyn uznany w swéj godności. Jaka zaś była zaciętość stronników niewolnictwa, jaka obawa aby w biednym niewolniku przemienionym w robocze zwierzę, nie ocknęła się myśl Boża podnosząca jego duchową osobistość, świadczy okrutne prawo wzbraniające wszelkiéj nauki niewolnikom, choćby tylko czytania i pisania.

Nauczyciel przestępujący ten zakaz, płacił niezmiernie wysoką karę pieniężną, a uczący się niewolnik podlegał srogiéj chłoście, od któréj nic go nie zwalniało.

Daty przytoczone dostatecznie przedstawiają przeszkody z jakiemi myśl walczyć musi w ludzkości, zanim w jakimkolwiek bądź kierunku, weźmie stanowczą przewagę nad uczuciami. Wieków trzeba było aby pojęcie godności człowieka wzrosło do tego stopnia, aby je uznano za prawo przynależne każdemu.

Jeżeli więc dziś jeszcze wiele czynności ludzkich wyłącza się z pod zarządu myśli, w przewadze uczuć jakie przed Chrystusem światem rządziły, mogli ją poczuć tylko wielcy mędrcy i bardzo nieszczęśliwi. Pogardzeni też, maluczcy i mędrcy pierwszemi byli uczniami i apostołami Chrystusa. Podjęta przez nich nauka świadcząc męczeństwem tysięcy o swéj prawdzie, obaliwszy pogański Rzym, na gruzach jego posuwała się śladem rzymskich zdobyczy, w których wyrobem poprzedniéj cywilizacji do ostateczności posuniętéj, znajdowała bujny grunt dla zasiewu słowa ewangelicznego. Owładnęła wreszcie niemi stanowczo, społeczności w nich zamieszkałe pod wpływem myśli weszły na nowe drogi, ale były one tylko cząstką wielkiéj rodziny ludzkości, reszta w dawnéj przewadze uczuć pozostała.

Ztąd powstały dwie cywilizacje choć bliskie siebie jeograficznem położeniem, ale niezmiernie różne w całym rozwoju społecznym, będące skutkiem tego we wzajemnéj dla siebie niechęci, wywołującéj w jednéj wzgardę jako dla barbarzyńców, w drugiéj nienawiść jako dla bluźnierców, czego sama nazwa *niewierny* służąca na oznaczenie chrześcijan, najlepiéj dowodzi.

W cywilizacji prawdziwie chrześciańskiéj myśl uznała Boga jako najwyższą doskonałość, widomą zarówno w ogromie światów jak i w drobniutkim pyłku, należącym do stworzonéj przez Niego materji. Człowiek uczuwszy potęgę, którą może targać pęta uczuć co chwila dążące do krępowania jego woli, siłę myśli

wydobytéj z siebie i ze swą świadomością, zapragnął nadać większe jeszcze przeznaczenie i skierował ją ku światu widomemu, ku prawom nim rządzącym, ku siłom w nim rozpostartym, aby śledząc jego tajemnice podbijać go, brać nad nim przewagę a nawet poznawać początek wszechrzeczy i z tego domyślać się jéj końca i przeznaczenia. Ztąd wypłynął rozwój nauk rozlicznych, odkrycia w świecie fizycznym, ujarzmienie sił przyrody, śledzenie ich niezmordowane i wielkie systemata filozoficzne, z ogólnem dążeniem wykazania potęgi ducha ludzkiego, a nicości materji. W badaniach tych uprawnionych nauką ewangieliczną, człowiek czasami posuwa się do przesady i błędu, nie ubliża to jednak w niczem godności myśli, wyzwolonéj z pod przewagi uczucia. Jedyną tego przyczyną niespokojność ducha ludzkiego, dręczonego zasłoniętą przed nim tajemnicą, w przeczeniu szukającego rozwiązania jéj i dla tego świat podobnych słusznie nazywa mędrkami, a dowodzenie ich mędrkowaniem, jako nie dającem się pogodzić z mądrością najwyższą, ani z myślą, ani z wewnętrznem] poczuciem w każdym mieszczącem się człowieku.

U ludów rozwijających się po za obrębem cywilizacji chrześcijańskiéj, czyli żyjących w pętach myśli a przewadze uczuć, najwyższéj doskonałości a nawet osobistości Boga tak nie są pewni że wierząc w byt Jego, wierzą także i w moc szatana i oddają mu cześć równą a może i większą jak samemu Bogu. W szamanizmie dobre walczy ze złem, myśl z materją i żadne z nich nie otrzymuje przewagi. U Budystańczyków wierzą w zależność najzupełniejszą od mocy złego, któréj przez wierne wypełnianie przepisów swéj wiary mogą się jedynie uwolnić. U wyznawców Mahometa szatan równie jest samoistnie działającym, a u innych wiernie ludów Bogu składają ofiary z roślin, djabłu ze zwierząt zabitych, i wszystko czem żyją, co posiadają, dom, mienie, dobytek, zajęcia swoje uważają za zostające w opiece djabłów oddzielnych, którym w celu uzyskania ich względów, okazują wielkie poszanowanie.

Jest to więc w dalszym ciągu ubóstwianie sił przyrody tylko w innéj postaci, któréj tak hołdują, że Turcy i Arabowie do dziś dnia jeszcze, na samą wzmiankę o Bogu cierpiącym jako człowieku, o Chrystusie umęczonym na krzyżu, obrażają się i Mahomet pomimo najszczerszéj chęci użycia chrystjanizmu jako cementu do zbudowania swego państwa, musiał samu stawę napisać, ogłosić się prorokiem i siłą miecza zdobywać dla niéj zwolenników.

Gdyby Chrystus objawił się światu w całym blasku potęgi ziemskiéj, zakuty w hełm i pancerz, z toporem w ręku tnącym sztaby żelazne i z zastępem zbrojnych wojowników gnących ku ziemi najhardziéjsze karki, świat ówczasowy, nawet cały Izrael z pewnością uwierzyłby w jego posłannictwo. Chrystus zbrojny tylko w słowo myśl do życia powołujące, został odepchnięty, bo ludziom brakło aktu dobréj woli jakiéj czciciel siły nie mógł posiadać. Koran też uczy co wypełniać dla zyskania raju Mahometa, Ewangielia przeciwnie uczy myślą wyjednywać dla duszy zbawienie, i dla tego społeczność chrześcijańska jest postępową, ciągle idącą naprzód, wschód zaś cały konserwatywny aż do fanatyzmu. Nauki nie rozwinął żadnéj, nie przysporzył światu [żadnego wynalazku, żadnego odkrycia, nie dał żadnego poety, ani głębokiego myśliciela, w urządzeniu społecznem nic nie odmienił, narzucane reformy odepchnął i potworzył sekty religijne na setki niemal liczone, w których znaleść można formy różnych wyznań, pozlepianych z sobą bez żadnego związku. Widocznie łączyły się z sobą według wrażeń zmysłowych i wpływu jaki na uczucia sekciarzy wywierały. Nienawidzą się też z sobą do zapamiętałości, i tylko są zgodni w równéj nienawiści do chrześcijaństwa, jako uosobionego bluźnierstwa przeciw czci materji, któréj ślepo są posłuszni. Ztąd to wypływały owe niegdyś napady tatarskie przed któremi drżała cała Europa; owe wreszcie najazdy Atylli przezwanego przez samego siebie *biczem bożym*, jako obok grabieży w pożodze i zniszczeniu, wymierzające karę na bluźnierców i odszczepieńców.

Podobnéj nienawiści sekciarskiéj, w społecznościach chrześcjańskich nigdzie się nie napotyka. Twórcy różnych systematów filozoficznych różnią się w zdaniach, ale nie prześladują, wyznawcy różnych obrządków religijnych tolerują się nawzajem, starając się niechęci łagodzić i uspokajać. wszyscy zaś ogółem bez względu na różnice w pojęciach, dla ludów żyjących w niewoli ducha, mają współczucie miłości bliźniego, obce tymże ludom zupełnie.

Ludy te są litościwe, miłosierne, gościnne, ale dopóki niedola drażni ich uczucia. Gdy téj nie widzą, gdy nie słyszą jéj jęków współczucie znika i zamiera. Są one także sprawiedliwe, ale po swojemu, zmysłowo, oko za oko, ząb za ząb, a darzenie chlebem za kamień, uważanem jest za niedołęztwo godne najwyższéj wzgardy. To też różne instytucje i stowarzyszenia i zakłady dobroczynne rojące się w chrześcjańtwie, w każdéj gminie, niemal w każdéj wsi i miasteczku, prawie im są nieznane lub tak słabo rozwinięte, że je za nic uważać należy. Zemsta zaś to cnota przekazywana w spadku, z pokolenia na pokolenie, pomimo zatarcia nieraz tradycji, jéj powodów i początku.

Sama nawet medycyna jako leczeniem ciała, sprzeciwiająca się siłom przyrody, nie jest uważana za naukę, ale za umiejętność z czarodziejstwem zbrataną. Lekarza szanują bo się go boją, jako posiadacza siły, niszczącéj, drugą chorym władającą. W społecznościach chrześcjańskich, zarówno małe jak większe przedsięwzięcia czy to handlowe lub przemysłowe, zawsze mają na celu, z małym wyjątkiem, przynoszenie dla ogółu pewnych udogodnień i pożytków, które w sumie swéj zbiorowéj, pośrednio lub bezpośrednio tak pomyślnie na cały ogół oddziaływają. Niezawsze kieruje tem dobra wola, często szarlatanizm, brzydkie sobkostwo ukrywa pod tą firmą swoje niepoczciwe cele, mimo tego praca myśli kapitałem poparta, zawsze rozwija swą działalność w imieniu dobra ogólnego. Ztąd spółki i stowarzyszenia różnorodne, stosowanie nauki do praktycznego użytku, rozwój kolei żelaznych, żeglugi parowéj, zbliżanie miejscowości przez przekopy gór niebotycznych, tuneli, kanałów, przeprowadzenie przez otchłanie morskie drutów telegraficznych, tworzenie nowych systematów finansowych, instytucji kredytowych, ztąd wreszcie chętny współudział nawet najmniéj interesowanych w różnych przedsięwzięciach, czy to mających na celu dobro ogółu, czy cząstki jego choćby najmniejszéj.

Bankier, kupiec, przemysłowiec pracuje jak każdy płatny przez niego pomocnik, ubogaciwszy się rozdaje tysiące, czasem krocie na zapomogi naukowe, instytucje i przedsięwzięcia pożyteczne, a choć nie uchyla się od przyjemności jakiemi darzy bogactwo, używa ich tylko szczodrzéj, obficiéj, z większą wygodą i wytwornością od uposażonych mniejszemi darami fortuny. Praca zawsze jest mu obowiązkiem, a tłem na którem ją rozwija miłość ludzkości, w miłości Boga i bliźniego biorąca początek. Wyjątki nic tu nie stanowią w ogólnym poglądzie nikną one, tylko zbiorem swym większym lub mniejszym, stanowią odpowiednią przeszkodę w odnoszeniu przez społeczność korzyści, z prądu myśli w całéj ludzkości działającéj.

U ludów w przewadze uczuć żyjących, bogactwo wcale inaczéj bywa spożytkowane. Bogacz u nich w pośród licznéj zgrai służalców, południe przemieni w poranek, północ w zmierzch wieczora, mieszkanie w tandetę niesmacznego przepychu, miłość w harem lub w miłostki jawnie praktykowane. Upajanie się narkotyczne lub hazard gry postawi na pierwszem miejscu ludzkich przyjemności, do ubrania przyjmie najśmieszniejsze wybryki mody, dla podniesienia znaczenia oblecze się w złoto i drogie kamienie jak wystawa jubilerska, dla zdobycia godności ziemskich zaprzeda się, dla rozgłosu rzuci tysiące, dla ukrycia swego duchowego niewolnictwa przyjmie wyrażenia najnowszych idei, ogładę, grzeczność najarystokratyczniejszych salonów, dla pochlubienia się nauką użyje zręcznie wiadomości pochwytanych luźnie bez żadnego ładu, wyuczy się kilku języków, i nie zaniedba niczego co może olśnić, zadziwić, uderzyć o zmysły i trwożnem przejąć poszanowaniem. Wprawdzie przy pierwszéj najmniejszéj sposobności zdradzi się swem zmysłowem usposobieniom, ale powierzchownych badaczy długo może w błędzie utrzymywać. Dla tego pozór w wielkiem u niego poszanowaniu, dla pozoru poświęci wszystko, dla pozoru nie cofnie się przed żadną ofiarą, pozornie będzie moralny, religijny, postępowy, brzydzący się fałszem, obłudą, szanujący prawo, instytucje, ale tylko wtedy gdy może być słyszanym lub widzianym, gdy w zamian odbiera cześć lub oklask, za którym przepada. Pracy jednak nie rozgłośnéj, cichéj w imieniu miłości bliźniego podjętéj, współek, instytucyj kredytowych, obrotów finansowych, nie zna, a nawet nie zupełnie pojmuje, bo tu już nie zmysły, ale myśl musi być działającą.

Wicekról Egiptu stracił miljony przy otwarciu kanału Suezkiego, i przy tem marnotrawstwie może nawet nie pomyślał, że miljony te użyte na wewnętrzne ulepszenia w oświacie, przemyśle, handlu, wybudowałyby w pamięci ludów trwalszy pomnik jego wielkości, jak chwilowa rozkosz z podrażnienia zmysłów wynikająca. To bezmyślne marnotrawstwo wielkich, naśladują mniéj zamożni, tych jeszcze niżsi, a gdy braknie środków wyzyskują wszystko. religię, urząd, władzę. zaufanie, ze sprytem nieraz godnym podziwu.

W niektórych miejscowościach nie ma nawet dróg dobrych, brakuje poczt jak dotąd w Turcji, że aż obce ambasady musiały swoje własne utrzymywać, a jeżeli gdzie drogi te ponaprawiano, jeżeli wybudowano koleje żelazne, to w widokach czysto militarnych a nigdy ogólnego dobra.

(d. c. n.)

LIST

AUTORKI KRONIKI ZAGRANICZNEJ

W BIBLJOTECE WARSZAWSKIÉJ.

(Dalszy ciąg.)

Po pierwszych tryumfach w roku 1818 puścił się Grillparzer w podróż do Rzymu. Widok starożytnych zwalisk, silnie poruszył jego wyobraźnię; napisał piękny poemat *Campo Vaccino*. Poznał w Rzymie Bayrona, ktory umiał godnie uczcić geniusz wielkiego poety niemieckiego.

W kilkanaście lat potem popłynął Grillpartzer do Grecji. Pragnął zwiedzić piękną ojczyznę swojéj Sapho, postawić stopę na téj skale, z któréj bohaterka rzuciła się w głąb morza, pragnął poznać Korynt sławny niegdyś z igrzysk i świątyń. Inaczéj jednak się stało. Złą chwilę obrał poeta do podróży. Było to w roku 1843, kiedy Grecy przez niechęć do króla Ottona wściekali się na Niemców. Zaledwie że Grillpartzer wylądował w Pyreneum, ledwie że rzucił okiem na równiny Attyki, ostrzeżony o niebezpieczeństwie,

zmuszony był udać się pod opiekę ambassady austryackiéj, wychodził tylko w towarzystwie urzędnika, z którym rozmawiał po Włosku, aby uniknąć podejrzliwości Greków. Niebawem też wrócił do kraju nie poznawszy Grecji.

Akademia nauk utworzona właśnie w tym czasie, ofiarowała mu krzesło. Zasiadł w gronie czterdziestu, lecz nie wdawał się wcale w krytyczne spory, i mało uczęszczał na zebrania. W czasach toczących się walk romantyków z klasykami, nie wystąpił po żadnéj stronie. Często nawet żartował z zaciętéj polemiki ówczesnych koryfeuszów. Opinię własną w tym względzie, wyraził w żartobliwym wierszyku. Dzisiejsi krytycy, — mówi on— istne papugi, wyuczyli się na pamięć dwóch słów, i szafują niemi bez ustanku. Klasycyzm i Romantyzm! oto dla nich dwoiste kryterjum. Zapomnieli w pysze swojéj, że w literaturze istnieją tylko dwa rzeczywiste rodzaje, jeden zły drugi dobry.

Grillpartzer połączył oba te rodzaje. Uczeń Szyllera i Götego nie trzymał się jednak ubitéj przez nich drogi. Z jednéj strony odrzucał stanowczo węzły szkolarstwa, krępujące polot geniuszu, z drugiéj unikał rozprzężenia romantycznego w formie. Badał pilnie wielkich klasyków Greckich, wczytywał się niemniéj w utwory hiszpańskich dramaturgów. Nie naśladował nikogo, ale wyrobił sobie własny rodzaj.

Oprócz dramatów napisał jeszcze dwie powieści poetyczne, *Stary Grajek*, i *kościół w Sandomierzu*, jak niemniéj wiele urywków lirycznych. Z tych ceniony najwyżéj poemat poświęcony pamięci Bethovena. Utwory te rozrzucone po zbiorowych pismach, stały się dziś rzadkością bibliograficzną.

Z późniejszych jego prac dramatycznych, znany tylko obrazek z dziejów czeskich p. „*Libusza*“ Autor nie pozwolił przedstawiać go na scenie; rzecz bowiem kończy się apoteozą słowiańszczyzny. Łatwo pojąć jaką burzę wywołałby ten utwór w obozie krytyków niemieckich.

Powierzchowność poety skromna była i nie wydatna. Zgięty ku ziemi, z głową lekko na bok przechyloną, przechadzał się często wśród tłumów wielkiego miasta, nie zwracając na siebie uwagi. Bojaźliwy z natury, unikał zgiełkliwych towarzystw, żył sam bez rodziny, otoczony szczupłem gronem przyjaciół. W chwilach zaś samotnych, oddawał się z upodobaniem muzyce i w grze na lutni prawdziwym był artystą. Stała przyjaźń łączyła go z Bethovenem; dla niego to napisał libretto *Meluzina* do któréj jednak Bethoven nie zdążył przygotować muzyki. Zastąpił go Kreutzer. Dziś Meluzyna poszła w zapomnienie z powodu jednak kompozytora a nie poety.

W znanym dramaturgu Wiedeńskim Wejlenie, znalazł Grillpartzer ulubionego ucznia i godnego siebie następcę. Chętnie też udzielał mu doświadczonéj rady, i przeglądał pilnie plan każdego dramatu nad którem Wejlen pracował. Jemu polecił jak mówią wydawnictwo pośmiertne dzieł swoich. Wejlen ze swéj strony, otaczał mistrza czcią najwyższą. O nim to myślał autor Rozamundy, kładąc w usta Longobardy słowa pełne miłości:

> Gdy mnie starość ziębi,
> Gdy mi usrebrzył czoło puch gołębi,
> Pragnę mą sławę i zasługi moje,
> I wszystkie bluszcze co mi czoło wieńczą,
> Na jego głowę przekazać młodzieńczą.
> Być tą pochodnią co zgaśnięcia bliska,
> Płomieniem nową zapala pochodnię....

Oprócz Wejlana, Grillparzer zostawił w gronie literatów wiedeńskich, kilku oddanych mu całem sercem. Ci zbierają skwapliwie każdy świstek nakreślony ręką genialnego starca. Poeta Prechtler naprzykład, który zajął po Grillpartzerze miejsce Dyrektora Archiwów w ministerstwie skarbu, znalazł w biórze stary zeszyt służący od lat wielu za tekę. Tu poeta zapisywał dorywczo cokolwiek przeszło mu przez myśl, w czasie nudnych godzin biórowych. Są tu epigramata, aforyzmy, wierszyki. Książka ta niedbale porzucona w biórze, stała się nieocenionym skarbem dla nowego jéj posiadacza.

Grillpartzer umarł 21 Stycznia, w rok i tydzień po zeszłorocznéj owacji, jaką mu wyprawił Wiedeń a z nim wszystkie ludy niemieckie.

Nieodstępną towarzyszką jego i opiekunką była od lat wielu panna Katarzyna Frölick, którą uczynił spadkobierczynią całego mienia swego i wszystkich niewydanych rękopisów; tych liczba jak mówią znaczna. Do ostatniéj chwili, zachował nietylko przytomność, lecz i użycie w pełni władz umysłowych. Dziewiętnastego stycznia napisał ostatni epigramat, 20 czytał świeżo nadesłaną mu książkę hiszpańską, i kreślił uwagi swoje na jéj marginesach. W dzień śmierci 21 rozmawiał długo z towarzyszką, skarżył się na bezsenność. Ilekroć się zdrzemnę — rzekł — zaczynam dysputować. Te narodowości nie dają mi pokoju.

Biedny poeta! przez całe życie chłostano go w imię narodowości. W ostatnich zaś latach dwa obozy: Austryjacki i czysto Niemiecki, wydzierały go sobie nawzajem uczyniwszy z niego sztandar swych narodowych manifestacji. Hołdy składane mu przy pogrzebie miały dwoisty charakter.

Większość jednak ziomków, uczciła w zmarłym wielkiego poetę, nie oglądając się na barwę polityczną. Co do nas, sądzimy że Grillpartzer eklektyk w poezji, był nim zarówno i w polityce. Czuł się Niemcem, bo nim był niewątpliwie, lecz obok tego a bardziéj może był Wiedeńczykiem. Cieszył się jednością Niemiec, lecz nie pojmował przyszłości ich bez przewodnictwa Austrji.

Trumna Grillpartzera pokryta wieńcami wyglądała niby olbrzymi bukiet kwiatów: przez dwa dni cała ludność wiedeńska odwiedzała ją tłumnie, wieczorem dnia drugiego, weszła do sali kobieta w żałobie przysłonięta gęstym welonem z krepy, zbliżyła się do trumny i na stosie zdobiących ją wieńców z bluszczu i kamelji, położyła świeżą gałęź palmową, godło duchowego męczeństwa. Ta gałęź leżała na kwiatach w ciągu uroczystości kościelnéj i pogrzebowego pochodu, na miejscu wiecznego spoczynku.

Grillpartzer pochowany na cmentarzu Wäring, w bliskości Bethovena i Szuberta.

(d. c. n.)

Pogadanka.

Jeżeli przysłowia prawdę mówią, to już święta Agnieszka wypuściła skowronka z mieszka, aby nam świegolił wieści radośne o wiośnie. Święty także Maciéj pluskiem i zupełną odwilżą zimę stracił, a nie zbogacił. Mamy też istotnie dnie coraz cieplejsze, coraz słoneczniejsze, o sankach dawno zapomnieliśmy, a ogród Saski z dniem prawie każdym rozmiękcza się i rozbłoca, co niezbity daje dowód, że warstwa gliny jaką nałożone wszystkie jego chodniki wskróś już ciepłem przejęta puszcza do gruntu. Potrzebną ona tam wprawdzie była jak dziura w moście, ale kiedy wcisnęła się ani proszona ani żądana, niechże przynajmniéj ustrzeże nas od dalszych podobnych ulepszeń, które ponowione z pewnością w każde roztopy, po każdym choćby najlżejszym deszczu, przemieniałyby ogród cały w jedno wielkie bagnisko. Gdyby te dobre chęci do ulepszeń z równym zapałem rozwijane były w kierunku zagajania dzikich klombów, tak zniszczonych nieoględnie, miejsce to tyle ulubione przez Warszawiaków, przyodziałoby się w dawną szatę gąszczu leśnego, pełnego rozlicznych ptaszyn, wspól zawodniczących śpiewem z królem śpiewaków słowikiem.

Bywał on tu niegdyś, ale zniknął wraz z ciszą tak uroczą i tak pożądaną.

Dziś tam gwarno i hucząco nawet, jakby dla przypominania że życie to nie sielanka, ale mordercze zapasy z twardą rzeczywistością. Starożytna też szermierka siłaczy przez pewne warstwy społeczności warszawskiéj, przyjętą była z ogromnym zapałem. Nowy zapaśnik w czarnéj masce zręcznie rozgadany, a nawet przez pisma roztrąbiony, narobił wrzawy dawno niesłychanéj. Chociaż podejrzywano słusznie o rodzaj komedji naprzód ułożonéj, ciekawych jednak ochotników była tak wielka liczba, że w kasie amfiteatru brakło biletów, widzowie skupieni głowa przy głowie, prawie dusili się, wypychali, swarzyli, łajali a gdy zbliżała się chwila zapasów, niecierpliwość wzrosła do tego stopnia, że zdawało się iż wszystkie ławki popękają, budynek zawali, a zebrana publiczność jak bałwany rozhukanego morza zaleje „całą estradę widowiska. Gdyby wznowiono dawne walki gladjatorów, kruszenie kopji na turniejach, zapasy dzikich zwierzęt ze wszystkiemi szczegółami krwawych tych dramatów, z pewnością przedsiębierstwo podobne miałoby wielkie powodzenie, a przedsiebierca prędzejby zarobił miljony, jak jakiś pan L. K. obowiązujący się siedzieć przez lat dziesięć w zupełnem odosobnieniu bez widzenia się z ludźmi i jakiejkolwiek z niemi rozmowy. Za odcierpienie tak przymusowych tortur, ochotnik na nowożytnego męczennika żądał tylko 300,000 rubli, a to dla przekonania całego świata, że co się zakładającemu Anglikowi nie udało bo przed terminem zwarjował, on dokona z pewnością i da dowód większego hartu od zniewieściałego wyspiarza, w dojściu do mienia bez pracy. Fakt to niegodny podniesienia, ale wybornie charakteryzujący ducha czasu, łaknącego, pożądającego na gwałt złota bez względu na środki do tego użyte. Dawniéj nawet by przez myśl nikomu nic podobnego nie przeszło, dziś zakłady podobne ogłaszają przez pisma publiczne.

Mało rozwinięta oświata głównym tego powodem. Wprawdzie hałaśliwych krzykaczy, popisujących się z nawiskami dzieł których w ręku nawet nie mieli, puszących się własną wielkością i lada słówko ułudne jak bańka mydlana i jak ona puste, podnoszących do rzędu arcydzieł, coraz jakoś więcéj przybywa, ale z bagnistego tego rojowiska nie wypłynie nawet światełko, choćby robaczka świętojańskiego. Z krzykiem wszystko wydrwić, wyszydzić i sponiewierać, obrzucić błotem co święte i niepokalane, co stanowi dotąd dla ludzkości jéj szczęście i zaszczyt, jéj podporę i pociechę, to jedyna ich dążność, jedyne staranie. Jeden z podobnych nihilistów literackich, wciskający się klinem w szpalty niektórych pism tutejszych, wydrukował w Krakowie dość obszerną broszurę, do któréj za dewizę użył wyrażenia łacińskiego: wino, zabawa i miłostki to jedyna rozkosz życia, reszta wszystko, głupstwem godnem pogardy.

Pod sztandarem takim, niezmiernie przez nas w wyrażeniu ułagodzonem, rozwinął odpowiednie rozumowanie, nie szczędząc nawet dowodów z różnych nauk pobranych, że teorja jego stanie się słońcem, wydobywającem ludzkość z przestarzałéj pleśni starych uprzedzeń i zabobonów.

Ilu taki pozór uczoności, mniéj rozumiejących czytelników mógł obałamucić, nie trudno się domyślić, ale na szczęście zwierzchność drukarni opatrzyła się i choć broszura była gotową do handlu księgarskiego, spaliła ją co do jednego egzemplarza.

Smutny to niezmiernie objaw, że nawet jednostki podobne mogą u nas wzrastać i głosić się za proroków.

Teatr obdarzył nas nowością już dawno zapowiadaną, bardzo starannie a nawet niezmiernie kosztownie przedstawioną, graną przez artystów wybornie, przetłomaczoną ślicznym wierszem przez L. Anczyca, ale na scenie tak...... nudną, że istotnie trzeba było wielkiéj wytrwałości aby wśród przedstawienia nie usnąć, lub przed jego ukończeniem nie zemknąć do domu.

Ową nowością jest Fedra tragedja Conrada, będąca bardzo pięknym poematem, ale nie sztuką dramatyczną godną scenicznego przedstawienia. Bo proszę sobie wystawić rzecz osnutą na starożytnéj niezmiernie legendzie, przez większą część publiczności zapomnianéj, którą jednak znać koniecznie trzeba, aby akcja była pojętą i interesującą.

Wątek więc przez słuchającego zaraz z początku nie mogący być schwyconym, rwie się późniéj co chwila, wikła, plącze, gmatwa dość że widz w końcu widzi artystów ślicznie deklamujących, ale o co im idzie, czego chcą, dla czego wchodzą i wychodzą z jakiego powodu złoszczą się na siebie i miotają różnemi namiętnościami, tego żadnym sposobem pojąć nie może. Proszę do tego dodać długie monologi, jeszcze dłuższe oracje, podczas których słuchający artysta sam nie wie co ma z sobą robić, to można nabrać wyobrażenia co to jest Fedra na scenie i co nudy usypiająco omdlewające. Słuchanie czytania jakiego ustępu poetycznego przez kwandrans a najdłużéj pół godziny, już jest nużącem i nie przez każdego wykonalnem, cóż dopiero przez pięć aktów przeraźliwie długich, po których następują przestanki równie długie, nudne jak lukrecja. Jak tragedją tę pani Modrzejewska mogła wybrać na swój benefis, pojąć prawie niepodobna. Oto treść jéj.

Podstarzały Tezeusz Ateńczyk syn króla Egeusza, pobiwszy ostatnich nieprzyjaciół swego ojca, udał się do Krety sławnéj z potworu Minotaura, chowanego w niemniéj sławnym labiryncie. Od zabłądzenia w nim bohatera ateńskiego, broni kłębek przędzy podany mu przez piękną Arjadnę córkę Minosa króla Krety. Tezeusz rozkochiwa się w niéj a siostra Arjadny Fedra w Tezeusza. Minos gniewa się o zabicie Minotaura, a Tezeusz przekonawszy się że go niczem nie ułagodzi, z obu siostrami ucieka z Krety jakby na dowód, że od przybytku głowa nie boli. Minos wprzód gniewny staje się naraz wściekły i rusza w pogoń za uwodzicielem i córkami. Na tem kończy się akt pierwszy.

W drugim na wyspie Naxos, Tezeusz grucha do Arjadny, a na niego coraz pożądliwiéj spogląda Fedra, czemu się słuchacze dość nadziwić nie mogą. Zdala pokazują się okręty Minosa, Tezeusz chce walczyć, ale mu zabrania dobra Arjadna zbrojnych zapasów z ojcem. Ucieczka zatem postanowiona, Arjadna pokonana wyrzutem sumienia pozostaje na wyspie Tezeusz, z Fedrą ucieka czego mu znów pomiędzy widzami i starzy i młodzi niezmiernie zazdroszczą, a Arjadna pokochana przez Dionizosa bożka natchnienia i wina, porwaną zostaje przez niego na wóz i uwięzioną w nieznane strony nieba.

W trzecim akcie Tezeusz przedstawia Fedrę ateńskiemu ludowi, jako swą ukochaną małżonkę, która pomimo tego zaszczytu zakochiwa się w synie swego małżonka Hipolicie, kochającym już Arycję.

W czwartym akcie Fedra płacze nad poległym w boju Tezeuszem, a coraz siarczyściéj szturmuje do serca Hipolita.

Tymczasem stary Tezeusz nagle wraca, bo wieść o śmierci jego była fałszywą i pomieszawszy wszystkim szyki, wikła je jeszcze bardziéj zezwoleniem na małżeństwo Hipolita z piękną i poetyczną Arycją.

W piątym akcie odbywają się zaślubiny młodéj pary. Fedra w przystępie obłędu zazdrości druzgocze ołtarz bóstwa i gasi pochodnię hymenu. Tezeuszowi otwierają się oczy, przeklina syna i każe go zawieść do Trezeny. W drodze spełnia się przekleństwo, Hipolit zostaje zabity odłamem skały, zwłoki jego przynoszą na scenę. Tezeusz rozpacza, Fedra błaga o przebaczenie i pada martwą przy ukochanym, skutkiem wypitéj poprzednio trucizny. Na tem kończy się przedstawienie, panią Modrzejewską publiczność obsypuje grzmiącemi oklaskami, jako benfisantkę zalewa deszczem kwiatów i obdarza pięknym zegarkiem z bogatym łańcuchem.

Przegląd literacki.

Zbiór baśni dla dzieci: *Tomcio Paluch, baśnia dla grzecznych dzieci z sześcioma kolorowanemi obrazkami.* Lipsk. Fryderyk Loewe, (kez roku wydania) *Kopciuszek*, baśnia itd. *Rycerz Sinobrody* itd. Wszystkie w ćwiartce większéj bez oznaczenia stronic liczbami.

Wiadomo każdemu, znającemu literaturę niemiecką, choćby ogółowo, iż prawie wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiéj, odpowiednio do swojéj ważności i zastosowania w życiu, są w niéj rozwinięte, tak iż wzajemnie się dopełniając, tworzą harmonijną całość. Powieść, która u nas tak się rozwielmożniła, a która, bądź co bądź, stanowi jedyny posiłek dla wielu czytelników nie mogących i nie umiejących czytać czego innego, w Niemczech i w ogóle w krajach rozwijających się normalnie, nie tylko nie tłumi i nie przeszkadza poważnym publikacyom, ale owszem uzupełnia je i neutralizuje zbyt materyalistyczny ich kierunek. Powieść niemiecka, chociaż także ulega temu kierunkowi, gdyż inaczéj być nie może, znana jednak jako płód twórczéj fantazyi przedstawia idealną, piękniejszą i zacniejszą stronę ludzkości.

Nic więc dziwnego, iż przy takiéj wielostronności, wśród prawdziwie pożytecznych *książek dla dzieci* napotykamy przeróżne *baśni*, pełne cudowności i nieprawdopodobieństw, drażniące wyobraźnią czytelnika wschodnią zabujałością, jakiéj mamy pełno w *Tysiącu nocy i jednéj*. Korzystając jeszcze z nowego sposobu kolorowania drzeworytów przy ich odbijaniu na prasie drukarskiéj, w miejsce dawnego, kosztownego kolorowania ręcznego, wydawcy niemieccy puścili w świat mnóstwo tego rodzaju wyrobów, opatrzywszy je tekstem nie zawsze szczęśliwie dobranym, czy wybranym. Lipsk, ta istna fabryka książek, obdarzył nas, zapewne na żądanie tutejszych księgarzy, owemi kolorowanemi obrazkami z tekstem polskim.

Wydanie staranne, poprawne, papier wyborny, druk czysty, a i cena, w porównaniu z dawniejszemi tego rodzaju publikacyami, wcale nie wygórowana.

Zachodzi tylko pytanie, czy dla naszych dzieci i to w obecnéj chwili są one stosowne? Kto zna nasze potrzeby, przeczącą tylko dać może odpowiedź. I w saméj rzeczy są to ciastka i karmelki dla biedaków, którym zbywa na chlebie powszednim. Nie otrują one zapewne, ale też i nie posilą.

Aby się o tem przekonać, przebiegnijmy choć w treści owe baśnie, które wydawca ofiarował grzecznym dzieciom. Tomcio Paluch, bohater pierwszéj bajki, tak nazwany został, że był niby mały jak palec (!). Ale zacznijmy od początku: Był sobie drwal i *drwalicha*, mieli siedmioro dzieci, samych chłopczyków. Naturalnie Paluch był z nich najgłupszy. Tych dzieci rodzice nie mogli wyżywić, więc zaprowadzili ich do lasu, aby tam głodną śmiercią poginęły lub stały się pastwą dzikich zwierząt. Przykład wielce budujący miłości rodzicielskiéj. Piękne te zamiary czułych rodziców udaremnił raz głupi Paluch, gdy wyprowadził braci z lasu i wrócił do domu, kiedy właśnie rodzice smaczno zajadali jakieś potrawy. Ale do razu sztuka. Powtórnie zaprowadzone dzieci do lasu, już z niego wyjść nie mogły, ale za to trafiły do gościnnéj chaty, w któréj gospodarz żywił się ludzkiem ciałem. W samą porę dostał mu się taki przysmaczek, jak siedmioro biednych sierot porzuconych przez rodziców. I byłyby się dostały do żołądka tego ludojada, gdyby nie pomysł Palucha, który staje się powodem rzezi siedmiu córek olbrzyma, ale ocala siebie i braci, potem ściąga śpiącemu olbrzymowi siedmiomilowe buty, dostaje się do jego mieszkania, kłamstwem zabiera jego skarby i zostaje bogatym i król robi go szlachcicem. To chyba satyra nie bajka, a dzieci na satyrach się nie znają.

Kopciuszek zbyt wszystkim jest znany, abyśmy go tu przypominać potrzebowali. Przeciwko téj bajce nic nie mamy, bo przynajmniéj jaki taki sens moralny z niéj wydobyć można.

Rycerz Sinobrody to jakiś Turek, ale strasznie bogaty, a że miał niebieską brodę i był bardzo brzydki, więc go panny nie chciały wziąść za męża. Dowiadują się przecież dzieci, że dla miłego grosza i smacznego jedzenia nawet potworom sprzedają się panny. Więc rycerz sinobrody dostał za żonę śliczną blondynkę, która nie posiadała się ze szczęścia, mając ładne pokoje, strojne suknie i przysmaków, co niemiara. Otóż ta mądra i skromna panienka zostawszy Turka żoną okazała jeszcze jeden przymiot więcéj, była strasznie ciekawą. Gdy mąż wyjechał i zabronił jéj wchodzić do jednego pokoju, jeśli nie chce stać się przyczyną własnéj zguby, to dopóty się kręciła, aż otworzyła ów pokój, w którym znalazła trupy pomordowanych dawniejszych żon Turka. Wtedy w płacz i lamenta. Wrócił mąż, a ona wyparła się wszystkiego, ale daremne były jéj kłamstwa i wybiegi; mąż miał już ją zabić, gdy przybiegli jéj bracia i Turka z kolei zabili. Wszystkie bogactwa dostały się wdowie, która wnet poszła za mąż za innego rycerza i była szczęśliwa.... Jakież-to miłe wrażenia pozostaną w umysłach dzieci? szczególniéj też młode panienki, jak piękny wzór do naśladowania znajdą w bohaterce, która za to, że była próżną, łakomą, ciekawą, jednem słowem głupią, została szczęśliwą....

Nawet bajkom tak kłamać nie wolno.

Ale chcemy być wyrozumiałemi. Tekst w tych książeczkach widocznie gra podrzędną rolę; główną, obrazki, że dzieciom utkwią one w pamięci, to rzecz niezawodna; że po przypatrzeniu się im, we śnie im się powtórzą, to także rzecz pewna. Jakie sceny przedstawiają te obrazki z przytoczonéj treści łatwo odgadnąć. Wątpić się godzi czy te jaskrawe, potworne postacie zbudzą w dziecku artystyczne poczucie piękna. Rysunek tu wcale niezły, ale koloryt, pomimo największéj staranności, prawdziwy podziw budzącéj dla sztuki preserskiéj, zawsze będzie mazidłem mogącem się podobać chyba dzikim Indyanom, albo tym biedakom, dla których różnokolorowa pstrocizna jest pięknością.

Jeźli wydawnictwa p. Fryderyka Loewe, w Lipsku, nie kształcą ani rozumu, ani serc młodych czytelników, niechby przynajmniéj nie fałszowały wyobraźni dziecinnéj, na którą już i tak wiele szkodliwych wpływów oddziaływa, aby je zwiększać jeszcze należało.

J. P.

Sprostowanie. W zeszłym numerze Tyg: Mód, w Przeglądzie literackim w tytule zamiast Głochówki powinno być *Głoskówki*, to jest logogryfy.

Do dzisiejszego Nru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Gdy przeszli do sali jadalnéj, hrabia był już tak przyswojony, że zapomniał zupełnie iż przyjechał dla Gabriela i bawił się, a patrzał w oczy Elwiry na swój własny rachunek. Powiedział sobie nawet parę razy opamiętawszy się na chwilę, że panna była niebezpieczna i że podobnych misji badawczych dla przyjaciół podejmować się nie godzi. Przyszła na myśl bajka Krasickiego i różne inne w świecie słyszane przygody.. Nie postrzegł w Elwirze najmniejszéj zalotności, ale ten jéj brak właśnie był najniebezpieczniejszy, drażnił. Obiad rozpoczął się przy najlepszym humorze wszystkich. i już doszedł do połowy, gdy w chwili oczekiwania na półmisek lokaj wszedł ze srebrną tacką i listem na niej, na którego kopercie stało pilno.

Elwira mało odbierająca korespondencji niezmiernie się zdziwiła, pochwyciła kopertę i nim ją rozpieczętowała zapytała, kto przyniósł i czy na odpowiedź czeka. Służący objaśnił że oddawcą był Dienstmann, który natychmiast odszedł. Parę razy list obróciwszy w ręku, jakby coś przeczuwała, zdawała się wahać czy go otworzyć.

— Któż widział listy przynosić przy obiedzie odezwała się a jeszcze taki jakiś podejrzany.

Namyśliła się i rzuciła go nie otwierając na tackę.

— Połóż go na stoliku, przeczytam potem.

Dziadunio i hrabia zaczęli prosić, aby nie robiła ceremonji, bo może być co pilnego.

— Ale co pilnego tak być może? Doprawdy, nie rozumiem.— obojętnie obracając go znowu w ręku rzekła Elwira.

Nikt uwagi nie zwracał na panią Sciańskę, która od przyniesienia tego listu, pobladła, spuściła oczy na talerz i widocznie była pomięszaną. Domyśliła się znać zkąd mógł pochodzić, a nawet że nic dobrego nie zawierał.

Opatrzywszy list, pieczątkę, przypatrzywszy się pismu Elwira rozerwała kopertę, poczęła czytać, Szczęsny spostrzegł że bladnieje, wyciągnęła rękę słabym głosem wołając — Wody, wody!— i w chwili gdy Sciańska zerwała się z krzesła biegnąc ku niéj, hrabia widząc ją mdlejącą podtrzymać musiał, ażeby nie upadła.

— To infamia jakaś, to anonym!—krzyknął oburzony Szczęsny, którego oko padło na rzuconą na posadzkę kartkę.

Kilka kropel wody, uczucie samo iż ta scena miała za świadków obcych, że oni ją niewiedzieć jak tłumaczyć mogli, otrzeźwiły wprędce Elwirę. Powiodła oczyma osłupiałemi i potok łez popłynął. — Przepraszam, przepraszam!— rzekła cichym głosem, coś tak niezwyczajnego, muszę wyjść, aby oprzytomnieć, wnet powracam.

— My idziemy!—zawołał Szczęsny i hrabia podnosząc się—ale niech mi wolno będzie jako opiekunowi...

— Ai, to nic, to nic!—szepnęła Elwira, tylko smutna, żałobna, niespodziewana wiadomość.

Rzuciła okiem na hrabiego.

— Niech panowie zostaną, proszę, lżéj mi będzie, ja wrócę..

Zawahali się goście. Hrabia zrozumiał co mu czynić wypada.

— Niech pan dobrodziéj zostanie, ja muszę iść obcy byłbym zawsze natrętem.

— Hrabio, ale tak nie odjeżdżaj, proszę, zobaczymy się..

Ernest skłonił się i wyszedł co najprędzéj. Dziadunio został Elwira rzuciła się na kanapkę i płakać zaczęła.

— Moja droga, błagam, wytłomacz mi. może potrafię pocieszyć, poradzić.

— Nie, kochany mój opiekunie, dla przekonania cię iż tajemnic nie mam, czytaj list. Intencja jego była niezawodnie złośliwa, łatwo mi się domyśleć kto go pisał.

— Ai—zawołała Sciańska przerywając Elwirze więc o nim pani myśli, to być nie może.

— Tak jest, niechybnie —rzekła Elwira. —Ale cóż mnie obchodzi kto przyniósł wiadomość, zawsze ona dla mnie równie bolesna.

— A o kimże to w liście mowa?—spytał Szczęsny bo ja choć opiekun o niczem nie wiedziałem.

— Nie było w tem żadnéj tajemnicy—spokojniéj poczęła Elwira—poznałam nieszczęśliwego tego, którego Greifer zabił.

— Ten co tu był wczoraj.

— Ten sam—kończyła Elwira, —poznałam go w Krynicy, podobał się nie mnie ale wszystkim.. Był to młody człowiek wykształcony, rozumny, miły, naturalny. żal mi go tem więcéj iż miałam w nim przyjaciela..

Szczęsny milczał. — W istocie, rzekł zafrasowany, cóż tu począć wszystko jest w ręku Opatrzności, śmierć zabiera ofiary. Uspokój się, kochana Elwiro na to nie ma ratuuku. Takie są losy człowieka. Nie mniéj muszę dołożyć że kto ten list anonyme przysłał tak pospiesznie nie uczynił tego bez złego zamiaru i mam go za.. za łajdaka! Tak—powtórzył stary—mam go za łajdaka!.

P. Sciańska poglądała na Elwirę i Szczęsnego przysłuchując się ciekawie.

— Niech mu pan Bóg przebaczy.—rzekła cicho płacząc Elwira— dla mnie to cios bolesny.

Dziadek przechadzał się po sali trzęsąc się z oburzenia..

— Gdybym wiedział kto to zrobił, na pewno, poszedłbym z dobrą trzciną wyłatać mu boki. I trzeba było żeby właśnie w tę godzinę wystąpił. Co hrabia sobie pomyśli! Co on pomyśli.. Stary aż ręce łamał.

Hrabia napiwszy się czarnéj kawy w pierwszéj cukierni po drodze, zapalił cygaro i poszedł zamyślony na przechadzkę do Thiergartenu.

— Grzeczność niedozwala wyjechać nie pożegnawszy się z tą biedną panienką—mówił do siebie—ale nie mniéj nie mam już tu co robić. Jeśli się nie mylę, a mylić się nie mogę, Pilawski by próżno się łudził. musiał wziąć grzeczność za uczucie, boć panna miała kogoś innego w sercu. Intrygi jakieś, ten galicjanin nieznośny. pełno jakichś tajemnic, dom nadto pański, panna Elwira wysoko patrzy, mojemu poczciwemu krawczykowi ani się tu myśleć posuwać. Ale na pożegnanie pójdę.

Zamyślony, smutny powrócił do hotelu. Nazajutrz chciałby był wyjechać, lecz dzień jeszcze dać wypadało spocząć potem pannie Elwirze, postanowił więc zostać. Wieczorem przyszedł Szczęsny, który według swoich kombinacji postanowił przed hrabią wytłomaczyć Elwirę, nie przyznając się wcale do prawdziwéj historji. Miał bowiem niejaką nadzieję że się hrabia zakocha a wydanie za takiego pana jak Ernest, któremu państwo nie przeszkadzało być najmilszym z ludzi, jak się wyraził Szczęsny, uważał za największy los jaki Elwirę mógł spotkać.

— Przepraszam cię kochany hrabio—zawołał ściskając go za ręce—przepraszam za ten obiad niefortunny i za moją biedną wnuczkę. Bogu ducha winna. bo to historja nie jéj, nie jéj ale jednéj jéj przyjaciołki, tak, przyjaciołki, którą kocha jak siostrę. Znam—dodał kłamiąc dość niezręcznie i łykając wyrazy jak człowiek, który sam dobrze nie wie co ma powiedzieć—znam tę osobę o którą idzie. bo to ona się wychowała z Elwirką. Otóż, mości dobrodzieju wplątano biedną dziewczynę w intrygę a ta Elwira tak poczciwe ma serce.. serce złote..

Moja wnuczka przeprasza hrabiego, nie mogła się jakoś powstrzymać od wzruszenia, a najwięcéj ją obchodzi, ażebyś hrabia nie myślał uchowaj Boże, iż to coś jéj saméj tyczącego się.

Hrabia zaprotestował, zapytał o zdrowie i czy po za jutro mógłby pożegnać pannę Elwirę, bo zamyśla wyjeżdżać.

— Po za jutro niezawodnie przyjdzie do siebie rzecz się ta rozjaśni .— rzekł Szczęsny. —Bardzo jéj miło będzie widzieć hrabiego.

Po krótkiéj rozmowie rozstali się serdecznie, ale stary odszedł zakłopotany czując że jego niezręczne kłamstwo niewiele zdołało naprawić.

Nazajutrz rano pani Sciańska pod pozorem mszy wyszła do miasta Cały wieczór przesiedziała przy Elwirze, która płakała i czuła się chorą. nieśmiała ani pocieszać, ani wywoływać zwierzeń, lecz była milcząco troskliwa, a twarz jéj chwilami przybierała wyraz zmęczenia, niepokoju, rozdrażnienia niewypowiedzianego. Nie położyła się spać prawie dowiadując się o Elwirze kilka razy w nocy, a doczekawszy poranka spiesznie ruszyła z domu. Znać z rozmowy z Greiferem musiała wiedzieć o jego adresie, poszła bowiem wprost do hotelu w którym mieszkał i kazała go szwajcarowi wywołać. Pan Stanisław wybiegł natychmiast rad był się dowiedzieć o skutku swéj zemsty. Pani Sciańska nie chąc rozpoczynać rozmowy ani w sieniach, ani w hotelu, prosiła go aby szedł za nią. Kilka kroków zrobiwszy ulicą zatrzymała się.

— Cóż się stało?—zapytał ciekawie Greifer.

— Panna Elwira jest chorą—rzekła głosem cichym Ściańska—a ja przychodzę to tylko powiedzieć panu, że jestem zdecydowaną na wszystkie zemsty jego następstwa, nawet na stratę ostatniego chleba kawałka, ale pomagać mu nie chcę i nie będę.

Napisz pan drugi anonym oskarżający mnie, odkryj jéj całą przeszłość moją. którą opłakując, straciłam ochotę do życia, pójdę, pójdę choćby do szpitala

ale do téj intrygi pomagać, miałabym sobie za zbrodnię. Żegnam pana.

To mówiąc spojrzała pogardliwie na Greifera i szybko poszła. Pan Stanisław pogonił za nią pierwszy.

— Ja pani, rzekł, o żadną pomoc nie proszę, ani się myślę wdawać w denuncjacje, nie żądam nic od pani, chcę tylko wiedzieć, cóż się stało?

Ściańska odwróciła się z twarzą pełną oburzenia.

— Żeś ją waćpan nie zabił, to szczęście.

Greifer ramionami ruszył.

— Eh, co tam, zawołał, kobiety od takich rzeczy nie umierają. Cóż, zemdlała, otrzeźwili, wieczny odpoczynek i hrabia zastąpi miejsce wielkiego nieznajomego, jeżeli się nie zrazi awanturą. Cha! cha! Podejrzenie padło na mnie.

— Broniłam nawet niepotrzebnie waćpana, odezwała się Ściańska, niepotrzebnie, boć pan tego nie wart, a obrona była próżną. Jakkolwiek charakter listu zmieniony, panna Elwira ma pamięć dobrą, a jakaś tam pani w Krynicy list jéj pański dla pięknego stylu pokazywała...i z tąż samą pieczątką.

Greifer uderzył się w czoło.

— Zapomniałem na wieki! krzyknął, to ten list do Jaworkowskiéj! Uśmiechnął się ironicznie sam do siebie.

— Bądź że pani spokojną, kiedy tak, dodał, mnie tu nie ma co robić. Zemściłem się i mam dosyć. Kobieta mnie nienawidzi, nie myślę walczyć z tem uczuciem. Nie daruje mi téj zemsty. Bądź pani zdrowa.

Ruszył ramionami i pogwizdując poszedł w inną stronę.

Drugiego dnia już Elwira miała siłę i moc nad sobą przygotować się na przyjęcie hrabiego, włożyła grubą żałobę w myśli, że jest podwójną. Obiecywała sobie nawet nosić ją całe życie. Całe życie! O, te ludzkie obietnice na wieki, gdy nikt siebie za lat kilka sam nie poznaje, jeśli się ściśle liczy z sumieniem i myślami! Ale się ślubuje na życie i układa zawsze, jakby człowiek i uczucia jego były nieśmiertelnemi.

Hrabia przyszedł w przedpołudniowéj godzinie, a troskliwy dziadek opiekun, jeszcze go poprzedził, aby wnuczce dopomódz do przyjęcia. Elwira była po raz trzeci znowu inaczéj piękną i może najpiękniejszą w tym obłoku smutku, który ją całą obwiewał. Na powiekach miała jeszcze łez ślady, na ustach tęskny igrał uśmieszek.

— Dzięki Bogu, odezwał się Ernest, że panią widzę lepiéj dziś i uspokojoną, odjeżdżam pewien przynajmniéj, że ta chwila tak nieszczęśliwie związana z moim pobytem, żadnych dalszych następstw mieć nie może.

— Powietrze wiejskie, zatrudnienie około domu w Studziennéj, to będzie pono najlepsze lekarstwo, dodał dziadunio, nie mamy najmniejszego powodu przedłużać pobytu w Berlinie i w tych dniach ruszamy na wieś, a jeślibyś kiedy pan hrabia był w Księztwie prosimy niezapominać o Studziennéj. Moja wnuczka będzie bardzo szczęśliwą.

Elwira ukłonem potwierdziła zaproszenie, przy rozstaniu podała rękę uprzejmie i kilka słowy żegnając hr. Ernesta, przeprosiła go jeszcze za niemiłą owę godzinę. Hrabia wyszedł smutny jéj smutkiem, ale zarazem i tem, że Gabrielowi nie miał co przywieść pocieszającego.

Pilawski już był zupełnie zdrów i pozostały mu tylko głuche bóle w ręku. Potrzebując się rozerwać rzucił się do pracy, do interesów, do książek swoich i malowania. Czas pobytu hrabiego w Berlinie wydał mu się wiekiem, zdawało mu się, że powinien był prędzéj powrócić. Codzień posyłał się dowiadywać i codzień przynosił służący wiadomość, że hrabiego jeszcze nie było. Przedłużona nad zamiar podróż niecierpliwiła Gabriela, lecz próżno chciał zapomnieć oczekiwania, z każdą chwilą rósł niepokój. Naostatek jednego ranka hrabia z torebką jeszcze podróżną wszedł do jego pokoju i rzucił się na krzesło prosząc o herbatę.

— A no, to żem się przecie ciebie doczekał, zawołał ściskając go Gabriel, nim usta otworzysz pozwól mi powiedzieć i prosić o jedno. Żadnéj litości nade mną i żadnych ogródek, żadnych nadziei, jeśli ich sam nie masz. Przyjaciel powinien prawdę rąbać śmiało, to pierwszy przyjaźni obowiązek. Widziałeś ją, słyszałeś o niéj?

— Słyszałem, dowiedziałem się, czego było potrzeba, odpowiedział hrabia, szczęśliwy traf nastręczył mi znajomość z jéj krewnym i opiekunem, najzacniejszym w świecie człowiekiem. Ten mnie wprowadził do jéj domu, byłem trzy razy.

— Opiekunem, i jakto opiekunem, a matka? zapytał Gabriel.

— Umarła!

— Matka umarła! Więc jakże została, z kim?

— Sama, jakaś ponura *dame de compagnie*, nikogo więcéj. Dziadek codziennym gościem, najczulszy z dziaduniów.

— Lecz dom, ona, mów, mów...

— Daj mi odetchnąć, prosił hrabia, zbiorę myśli, nie wiem od czego zacząć.

— Ale ona, wołał Gabriel, ona? podobała ci się?

— Bardzo! Królowa, księżniczka, co chcesz, rzekł hrabia, lecz kto wie, mój Gabrielu, czy to jest żona dla ciebie. Panna ma familję bardzo wybitnie staro-szlachecką, dwakroć stotysięcy talarów posagu, dobra jakieś kupili teraz, dom na bardzo pańskiéj stopie.

Pilawski powoli osunął się na fotel.

— Mów, rzekł, mów, trzeba mieć rozum, gwiazdy z nieba, kafli z pieca, szybki z okna dziecko nie powinno żądać. Z losem się moim pogodzę.

— To, co ja ci mam do powiedzenia, odezwał się hrabia powoli, jest rzeczą mojéj własnéj obserwacji. Wprawdzie wiodła nią przyjaźń, ale i ta bywa często ślepą. Zatem co ja powiem, jeśli się nie zgadza z tem, co ty czujesz możesz odrzucić.

— Mów! powtórzył Gabriel, rozum mieć będę.

— Koniecznie też go potrzebujesz, dodał Ernest, panna piękna jak królowa, wychowana jak księżniczka, ton wielkiéj pani, życie na stopie wytwornie arystokratycznéj, stosunki, jeśli się nie mylę, bardzo starannie obmyślane. Jako około dziedziczki będącéj panią swéj woli, kręci się rój różnych konkurentów.

— A, tegom się spodziewał!

— O oczy i o uszy mi się obiło coś, mniejsza oto, najnieznośniejsza dla niéj figura, bo mi to sama oświadczyła, Galicjanin typ nie pieczeniarza, ale liziłapy pańskiego, Greifer.

— Jest tam.

— Był przynajmniéj, rzekł hrabia, nie chciano go przyjmować.

— Wiesz, że to mnie cieszy, przecież to ten sam, który mnie ranił w pojedynku.

Hrabia nazwiska czy nie dosłyszał, czy zapomniał, dość, że dopiero teraz się z niem opamiętał.

— Jakto? to ten sam!

— Niezawodnie, odparł Gabriel, a jeśli go tam nie dobrze przyjmują, to znak że może... niedokończył i spytał: nie było o mnie rozmowy?

— Strzegłem się tego jak najpilniéj, odezwał się hrabia, nie chciałem cienia posądzenia o to, że jestem twoim szpiegiem.

— A więc, rezultat, zapytał niecierpliwie Pilawski.

— Jest ten, mój drogi, że to może być ideał, że to jest postać poetyczna, wzór dla malarza, dla poety natchnienie, dla kogoś może szczęście, ale nie żona dla ciebie. Dostań sobie jéj fotografję, każ oprawić w aksamitne ramy, patrz na nią, wzdychając po całych dniach, lecz nie posuwaj się daléj. Próby ci nawet nie życzę, rozczarowałaby cię, a lepsza niepewność i złudzenie, niż zwątpienie. Jestem prawie, prawie pewien, że odkrycie tego, kim ty jesteś, odebrało by ci wszelki urok w jéj oczach, tak jak u hrabiny. W dziejach twojéj młodości będzie to karta wspomnienia, założona rękawiczką i nic więcéj.

Gabriel zbladł, podparł się na dłoni, zamilkł. Podniósł potem głowę, wyciągnął rękę i ścisnął hrabiego, dziękując mu milcząco.

— Były chwile, odezwał się, żem miał jakieś niedorzeczne nadzieje, teraz, teraz widzę, żem się łudził napróżno. Z tego, co mówisz, wnoszę, wierząc sercu i oku, iż tam już jechać nie mam po co. W sferach, w których ona żyje, możebym ofiarą porzucenia mojego stanu i pracy, wymógł zapomnienie, czem byłem, gdyby ona była ubogą, ale obywatelska córka mająca dwakroćstotysięcy talarów posagu, nie idzie za krawca, chociażby ten wychował się w Londynie i Paryżu i podobny był jak dwie krople wody do salonowego próżniaka. To darmo. Największą zawadą dla mnie są te nieszczęśliwe talary. Przyznaję się, że całą nadzieję pokładałem na zrujnowaniu. W Poznańskiem wszyscy są albo już zrujnowani, rujnujący się, lub mający się zrujnować. Czasem jedno pokolenie trzyma się na nogach, dwa jeszcze, w trzeciem już są rysy, a najdaléj czwarte z dóbr przechodzi na jedną wioseczkę, lub na proletarjat szlachecki, najnieszczęśliwszy z proletarjatów, bo pracować nie umie, na los się skarży, stawia na loterje, szuka synekury, nic nie robi i marnie ginie.

Jakimże sposobem ci Domscy potrafili utrzymać się przy majątku? Kobieta, wdowa, bo wiem, że matka jéj oddawna wdową została. Jakim cudem!

— Nawet po śmierci jéj, córka jeszcze majątek kupiła i w nim ma właśnie zamieszkać.

— A wprzódy gdzie mieszkały?

— Tego nie wiem, nie śmiałem pytać o majątkowe stosunki dziada, sam mi się tylko z tego, co wiem, wyspowiadał.

Pilawski poprzestał wkrótce badania. Hrabia też szczegółów wielu dotykać nie chciał i o wypadku przy stole nie wspomniał wcale. Cały dzień przesiedzieli z sobą.

— Co poczniesz? zapytał Ernest rozstając się.

— Jutro wyjeżdżam do Londynu, rzekł Pilawski, mam znaczną partję sukna i kortów do wybierania, mnóstwo drobnostek, praca i podróż mnie rozerwą skutecznie.

— A zatem, szczęśliwéj drogi, dodał hrabia, ażeby zaś cię chętka nie wzięła zatrzymywać się w Berlinie, powiem ci, że panna z dziadem na wieś pozawczoraj wyjechać miała.

— O, to mi wszystko jedno, kilka godzin ledwie w Berlinie się zatrzymam i spieszę do Anglji.

(d. c. n).

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg).

— Pora względności także już dla nas minęła matko, i z pewnością więcéj nie wróci. Idź daléj taką drogą jaka ci się spodoba, używaj jak zechcesz tego coś zarobiła, baw się, wydawaj pieniądze, bądź szczęśliwą po swojemu jak tylko potrafisz. Cel naszego życia został osiągnięty. Odtąd milczmy obie o przeszłości. Co do mnie obiecuję, że usta moje więcéj ani słowa o niéj nie wyrzekną; przebaczam ci matko twój udział w haniebnym czynie, który jutro ma się spełnić, niech mi Bóg daruje to, co na mnie z niego przypada!

To wyrzekłszy, Edyta zimno i bez żadnego wzruszenia wyszła poważnym krokiem z pokoju.

Skoro się jednak znalazła samą, uczucia które tak długo tłumiła, wybuchły naraz z gwałtownym niepokojem. Długo chodziła szybkim krokiem po pokoju, rzucając od czasu do czasu wzrok ponury na przygotowany, już dla niéj wytworny strój ślubny. Czarne jéj włosy spadały bezładnie na ramiona, oczy rzucały błyski złowrogie, palce konwulsyjnie w pierś się wpijały, a gdy przechodziła przed zwierciadłem odwracała głowę, jakby uciekając od widoku własnéj piękności, bez łzy w oku i bez słowa skargi na ustach.

W tem przechodząc przed drzwiami pokoju w którym spoczywała Flora, spojrzała na nie przypadkiem. Zadrżała, zatrzymała się, potem zajrzała do gabinetu i weszła do niego pocichu.

Przy blasku przyćmionym lampy, ujrzała Florę głęboko uśpioną, w całym uroku jéj niewinnéj piękności. Urok ten zdawał się ciągnąć ku niéj Edytę, pochyliła się nad nią, oddech powstrzymując i ucałowała drobną rączkę zwieszającą się z łóżka. Potem, oto czyła nią szyję swoją, i harda ta dusza zmiękła nagle,dumna kobieta padła na kolana, łzy trysnęły z jéj oczu i oparła palące czoło o poduszkę, na któréj spoczywała głowa Florci.

Tak upłynęła dla Edyty reszta nocy, tak ją zastało wschodzące słońce, gdy pierwsze jego promienie zajrzały do pokoju.

XII.

Cicho uśmiechnięta jutrzenka zajrzała nieśmiało do okien kościoła. Zimno tam i ciemno jeszcze. Po kamiennych płytach słaniają się cienie nocy, zbijając się gęściéj po wgłębieniach i zakątach gmachu. Po nad okolicznemi domami widać już, oznaczającą się szarawo, wieżę kościelną. ale wewnątrz wschodząca jutrzenka nic dostrzedz nie może, oprócz nocy samowładnéj tam pani.

Błąkając się w około kościoła, zanim wstęp do niego będzie jéj dozwolonym, jutrzenka opłakuje krótkotrwałość swego panowania i łzy jéj zwilżają szyby różnobarwne. Drzewa otaczające kościół, zdają się ze współczuciem dla niéj załamywać tysiączne swe ramiona i drżą dreszczem przejęte, jakby od wzruszenia. Noc tymczasem blednąć poczyna i coraz bardziéj z kościoła ustępuje, już środek jego opuściła, ale jeszcze panuje w niższych nawach i około grobowców. Aż wreszcie dzień nadchodzi w całym swym blasku; promienie jego złocą tarczę i skazówki wieżowego zegara i niebawem osuszają łzy jutrzenki, która uciekając strwożona w ślad za nocą, wygania ją z ostatniego jéj schronienia i sama się kryje pod sklepieniami i około grobowców. I oto ciężkie drzwi kościoła obracają się rozgłośnie na swych zawiasach. Dzisiaj bowiem zakrystjan, ważny dostojnik miejscowy, pojawił się bardzo wcześnie, w towarzystwie grabarza. Zaraz zanim ukazała się imć pani Miff, przygarbiona i kaszląca staruszka, ubogo ubrana, piastująca godność babki kościelnéj. Pamiętna swych obowiązków, czekała przez pół godziny u drzwi świątyni na przybycie swego zwierzchnika i teraz wchodzi za nim, dla rozpoczęcia codziennych swych czynności.

Pani Miff ma wyraz twarzy bardzo najeżony, ale za to czepek wielce wygładzony i spłaszczony. W duszy jéj panuje nienasycona chciwość co do pensów i szyllingów, któremi miejsca w ławkach bywają na jéj ręce opłacane.

Pani Miff jest obecnie bardzo zajęta. Stoi we drzwiach kościoła trzepiąc bardzo sumiennie poduszki z ołtarzy, dywany i pokrowce. Spieszy się z tem niewymownie, gdyż ma bardzo wiele do powiedzenia o gotującem się ślubnym obrzędzie. Słyszała bowiem, że odnowienie i urządzenie domu pana młodego kosztowało co najmniéj pięć tysięcy funtów; zkądinąd wie również z największą pewnością, że narzeczona nie posiada ani szyllinga. Pani Miff przypomina sobie także bardzo dokładnie, jak gdyby to wczoraj miało miejsce, pogrzeb pierwszéj żony dzisiejszego nowożeńca, i przywodząc sobie na pamięć wszystkie szczegóły tego obrzędu, postanowiła obmyć z kurzu grobowy kamień matki i dziecięcia, zanim orszak ślubny przybędzie.

W domu Dombeya panuje tymczasem ruch wielki, zwłaszcza pomiędzy kobietami; żadna z nich od świtu oka nie zmrużyła i przed szóstą wszystkie już przystrojone po świątecznemu. Młodsza okazuje w dniu tym większe niż zwykle względy Towlinsonowi; przy śniadaniu kucharka twierdzi, że za jednym ślubem, drugi zawsze wkrótce w domu następuje, czemu młodsza zdaje się nie chcieć uwierzyć. Towlinson nie wypowiada swojego zdania w tym przedmiocie, jest bowiem wielce zasmucony tem, iż jego pan zgodził obcego jakiegoś lokaja z bakenbardami dla zabrania go z sobą do Paryża. Przybysz ów właśnie jest zajęty przenoszeniem pakunków do nowego powozu, stojącego w dziedzińcu. Z okoliczności owego przykrego zawodu, Towlinson zapewnia, że nie widziano jeszcze aby ktokolwiek wyszedł dobrze na przyjmowaniu cudzoziemców do usług, w czem młodsza zdaje się podzielać jego zdanie.

Cukiernik ma także w dniu tym niemało do czynienia, a dwaj chłopcy kredensowi o mało oczu nie wypatrzą, przyglądając się jego robocie.

Na całéj ulicy wszyscy już wiedzą o gotującéj się uroczystości. Nawet w pomieszkaniu drewnianego miczmana objawia się ruch niezwykły, kapitan bowiem Cuttle chce także mieć udział w tem ciekawem widowisku, i bardzo jest zajęty wyszukiwaniem najwyższego ze swych kołnierzyków i odświeżaniem świątecznych kamaszy.

Lord Feniks powrócił naumyślnie do Anglii, aby być obecnym na ślubie swéj kuzynki. Już od czterdziestu lat co najmniéj jest modnym kawalerem, ale wygląda tak młodo, ma kibić tak wysmukłą i ubiera się tak starannie, że ktokolwiek widzi go poraz pierwszy, dziwi się dostrzegając lekko rysujące się zmarszczki na czole i na skroniach.

Dombey wyszedł wreszcie już ubrany ze swoich pokojów, i udał się na górę, aby w bawialnych pokojach czekać chwili wyjazdu. W tem ktoś lekko do drzwi po dwakroć zapukał: to major Bagstock. On także przecudnie dziś się przedstawia; cała wiązanka geranji rozkwitła w dziurce jego guzika. Sztuka fryzjerska tak się popisała na jego głowie, że w porównaniu z nim, murzyn nie wydaje się kędzierzawym.

— Jakże się miewasz, Dombeyu? odzywa się do gospodarza, podając mu obie ręce.

— Bardzo dobrze, a ty majorze?

— Panie łaskawy, Józef Bagstock czuje się dziś w takim usposobieniu, zawołał major uderzając się dłonią w piersi, że — niech nie żyję jeśli zmyślam iż kto wie czy przy jednym ślubie nie zabierze się do drugiego, i nie poprowadzi matki do ołtarza!

Dombey uśmiechnął się ale półgębkiem tylko, gdyż owa matka będzie mu wkrótce bardzo bliską, nie wypadało zatem z niéj żartować. Major spostrzegłszy to zmienił szybko rozmowę.

— Przyjmij serdeczne moje powinszowanie, Dombeyu, odezwał się ściskając mu rękę. Na prawdę, jest czego ci powinszować, gdyż pewny jestem jak honor kocham, że na całym obszerze Anglii nie znajdzie człowieka szczęśliwszego od ciebie.

Dombey nieznacznie skinął głową i również nieznacznie tylko uśmiechnął się, gdyż w jego mniemaniu, Edyta o wiele była od niego szczęśliwszą w chwili, w któréj zaszczyt tak wielki miał ją spotkać.

— Bo co do Edyty Granger, mówił daléj major odgadując myśl Dombeya, to już nie ma na całéj kuli ziemskiéj kobiety, którąby nie dała uciąć sobie prawą rękę wraz ze wszystkiemi pierścionkami jakieby na niéj miała, żeby tylko zająć jéj miejsce.

— Pochlebiasz mi majorze, szepnął bankier z widocznem zadowoleniem

— Tylko cię proszę Dombeju, niechaj nie będzie komplementów pomiędzy nami. Wiesz że jestem szczery, wierzysz temu, wszak prawda?

— Tak, ależ przecie mój majorze....

— Żadnych warunków, gdy idzie o powiedzenie prawdy, bo albo Józef Bagstock jest twoim przyjacielem albo nim nie jest. Powiedz raz, czy mam prawo wypowiadać otwarcie moje zdanie, czy też muszę być z tobą na etykiecie i prosić o pozwolenie zanim się odezwę?

— Kochany majorze rzekł Dombey, przekonany uniesieniem Bagstocka, zapalasz się zbytecznie w tym razie.

— Zapalam się, bo jestem w ogóle zapaleńcem, przerwał major, oto jest ręka prawego człowieka, ręko starego Józefa Bagstocka, o którym jego wysokość książe Jorku raczył powiedzieć jego wysokości nieboszczykowi księciu Kentu, że jego zuch z niego, jakich mało. Niech ci Bóg błogosławi, Dombeyu! Oby dzień ten pozostał w twéj pamięci jako najszczęśliwszy w życiu!

W téj chwili wszedł do salonu Carker, uśmiechnięty i ustrojony całkiem po weselnemu. W serdecznym zapale swych życzeń ścisnął tak silnie rękę Dombeya, jakby nie mógł się z nią rozstać. Przywitał się także bardzo czule z majorem, odzywając się do niego z poufałą przyjaźnią

— Nawet w pogodzie dzisiejszéj możemy dobrą upatrywać wróżbę dla szczęścia nowożeńców. Sądzę że w sam czas przybyłem?

— Najzupełniéj, łaskawy panie odrzekł major.

— Bałem się niezmiernie spóźnienia, wstępowałem bowiem na Grosvenor-Square, aby zostawić przyszłéj pani Dombey cokolwiek kwiatów w upominku, a jakkolwiek nie wątpię że w chwili obecnéj, przyszła pani Dombey jest zarzuconą najwspanialszemi i najkosztowniejszemi darami, mam jednak nadzieję, że skromna moja ofiara, prawem swojego ubóstwa, pozyska u niéj pewne względy.

— Pani Dombey, to jest osoba która wkrótce nią zostanie, odrzekł bankier z łaskawą przychylności-

będzie ci z pewnością bardzo wdzięczna Carkerze, za twą pamięć o niéj.

Wyruszono wreszcie do powozów.

Dombey siadł w towarzystwie Bagstocka i Carkera. Pan Sownds, zakrystjan zobaczywszy nadjeżdżających podniósł się ze schodków i stanął przy drzwiach ze składanym kapeluszem w ręku. Pani Miff powitała przybywających głębokim ukłonem i zapytała, czy nie każą sobie zanieść krzeseł do zakrystji. Ale Dombey wolał pozostać w kościele i zaczął poważnie po nim się rozpatrywać.

Pan Sownds i pani Miff podziwiając jego postawę, zatrzymali się w pewnem oddaleniu, w tem nowy turkot powozu daje się słyszeć. Zakrystjan przesunął się ku drzwiom, pani Miff zaś napotkawszy wzrok Dombeya, zawiadamia go z ukłonem pełnym uszanowania, że panna młoda pewnie już przybyła. Wtedy gwar powstaje pomiędzy tłumem, wszyscy cisną się śpiesznie ku drzwiom, których próg „panna młoda" dumną stopą przestępuje.

Na twarzy jéj, nie widać ani śladu cierpień nocy poprzedniéj; w postawie jéj nic nie przypomina kobiety, która nie dawno temu opierała znękaną głowę o poduszkę niewinnie uśpionéj dziewicy. Młode to dziewczę idzie tuż za nią, tworząc uroczą swą pięknością uderzającą sprzeczność z dumnym i nieugiętym wyrazem twarzy kobiety, która stanęła u stóp ołtarza w całym blasku urody, cudownéj wprawdzie ale niemal przerażającéj dziwnym wyrazem pogardy jaki ją cechuje.

Upływa chwil kilka, oczekiwania na rozpoczęcie obrzędu, korzystając z tego pani Skewton zbliżyła się ku Edycie i rozmawiając z Dombeyem głosem nie zwykle pewnym, rzekła głośniéj:

— Kochany Dombeyu uznałam po dłuższym namyśle, że lepiéj będzie aby Florcia do domu wróciła i to dziś jeszcze. Po stracie jaką ponoszę, nie znajdę w sobie sił potrzebnych, aby być dla niéj miłem i pożytecznem towarzystwem. Przytem, skoro droga moja Edyta ma zostać nieodstępną towarzyszką Florci, nie wypada mi prawa jéj sobie przywłaszczać. Mogłabym obudzić tym sposobem mimowolną zazdrość, wszakże prawda kochana Edyto?

Wymawiając te słowa, czuła matka ścisnęła z lekka rękę córki, a póżniéj małą rączkę Florci i miała ją już obdarzyć nowym dowodem udanéj tkliwości, gdy na szczęście ukazał się pastor z kościelnym sługą, i zakrystjan wskazujący każdemu miejsce jakie ma zajmować przed ołtarzem, w czem mu pani Miff dopomagała bardzo umiejętnie.

— Kto oddaje tę kobietę w ślubny związek temu człowiekowi? zapytał duchowny wymawiając wyrazy anglikańskiego rytuału.

Kuzyn Feniks przyjął na siebie w tym razie ów ważny obowiązek odpowiedzi, dla spełnienia którego umyślnie przyjechał z Badenu do Anglji.

— Niech tam djabli wezmą wszystkie zwyczaje i ceremonje, szepnął sobie w myśli lord Feniks, ale skoro wchodzi w naszą rodzinę jeden z najbogatszych bankierów Starego miasta, pokażmy mu że żyć umiemy, że znamy dawne obyczaje. Potem podsunął się ku duchownemu i odezwał się głośno. Ja oddaję tę kobietę w ślubny związek temu człowiekowi. Potem uprzejmy lord podstąpił bliżéj ku ołtarzowi, ale zszedłszy nieco z zamierzonéj drogi już chciał oddać Dombeyowi w miejscu Edyty, starą jakąś jéj krewnę, ale pani Miff, zręcznie go na właściwy tor naprowadziła popychając ku pannie młodéj, którą kuzyn Feniks pospieszył oddać w ślubny związek temu człowiekowi.

— Czy, stosując się do prawa Bożego, ludzie ci żyć będą z sobą w zgodzie i miłości? zapytał pastor, a odebrawszy potwierdzającą odpowiedź mówił daléj.

— Od dzisiaj więc tedy, równie w szczęściu jak w przeciwnościach, równie w uciechach i w bogactwie jak w ubóstwie i w chorobie, ludzie ci mają kochać się nawzajem dopóki śmierć ich nie rozłączy, zaprzysięgli wiarę jedno drugiemu, związek więc pomiędzy niemi już został zawarty.

Gdy po chwili orszak ślubny poszedł za pastorem do zakrystji, panna młoda położyła swój podpis w księdze ręką pewną i z twarzą spokojną: Florcia z bojaźnią i pewną trwogą, lord zaś Feniks podpisał się na ostatku ale skutkiem dziwnéj znowu pomyłki, umieścił swe nazwisko w rubryce dzieci w dniu tym urodzonych.

Major zbliżył się do nowozamężnéj, i złożył jéj powinszowanie i życzenia z wytworną zalotnością zatrącającą nieco szykiem wojskowym, potem zwrócił się z komplementami do pań obecnych i nie zważając bynajmniéj na głośne szlochanie pani Skewton, zabrał się do całowania ich po kolei, według przyjętego zwyczaju. Za jego przykładem poszedł lord Feniks a nawet i Dombey, wreszcie i Carker zbliżył się do Edyty, i wyszczerzając lśniące swe zęby zdawał się bardziéj chcieć ją ugryźć jak pocałować.

Żywy rumieniec wystąpił, na dumną twarz młodéj kobiety: z oczu jéj wytrysł błysk gniewny. Carker tem wcale nie zmięszany, korzystając z prawa jakie mu nadawała chwila obecna, złożył Edycie życzenia wszelkich pomyślności.

— Sądzę jednak, dodał z cicha, że tam gdzie podobny związek się zawiera, wszelkie życzenia są co najmniéj zbyteczne.

— W każdym razie, dziękuję panu za nie, odrzekła Edyta przygryzając usta i usiłując pokonać mimowolne wzruszenie.

— Szczęśliwy jestem, odezwał się znowu Carker z pokornym lecz chytrym ukłonem, szczęśliwy jestem nad wszelki wyraz, widząc że uboga moja ofiara tak łaskawie została przyjętą przez panią Dombey, iż nawet raczyła dać jéj pierwszeństwo przed innemi w dzisiejszéj uroczystości.

Gdy Edyta dziękowała lekkiem skinieniem głowy, za ten dowód pamięci,palce jéj skurczyły się nieznacznie, jak gdyby chciały w proch zetrzeć kwiaty które trzymała w ręku. Po chwili oparła się na ramieniu, nowego swego małżonka rozmawiającego z majorem, i znowu stała się spokojna, pogardliwa i milcząca jak zwykle.

Dombey wreszcie wyprowadził żonę, któréj przypatrywały się ciekawie piastunki czatujące z niańkami na jéj wyjście, aby nie stracić najmniejszego szczegółu jéj ubrania. Pani Skewton wsiadła z lordem Feniksem do karety nowożeńców, major zabrał miejsce w drugim powozie obok Flory i staréj kuzynki, którą lord Feniks chciał oddać Dombeyowi, a Carker wsiadł w czwarty na przodzie. Konie pieniąc się parskały niecierpliwie, stangreci i lokaje pysznili się nową liberyą przystrojoną we wstążki i kwiaty, cały orszak ruszył z miejsca, tysiące głów oglądał, się za nim, podczas gdy tu i owdzie, surowy jaki moralista, nie wziąwszy sam ślubu tego poranku, wynadgradzał to sobie rozmyślaniami nad prawdopodobną krótkotrwałością szczęścia ludzkiego, a więc i téj pary, powracającéj tak szumnie z kościoła.

Tymczasem powozy przybywają przed mieszkanie panny młodéj; tłum się zbiega i ciśnie się około drzwi dla ujrzenia Dombeya, wprowadzającego żonę do sieni. Reszta towarzystwa wchodzi za niemi do salonów pani Skewton, a Carker, przeciskając się przez tłum, myśli o staréj żebraczce, któréj ręka wyciągała się za nim tak groźnie, i dlaczego Florcia przypomniała sobie z trwogą ów dzień, w którym błąkając się dzieckiem po ulicach, napotkała wstrętną postać „poczciwéj" pani Brown?

Po przybyciu kilku osób zaproszonych na weselny obchód, ponawiają się powinszowania i życzenia wyrażane ze wszech stron państwu młodym. W krótce potem, wszyscy zasiadają do stołu w sali jadalnéj, któréj posępna pomroka nie ustąpiła nawet w obec żywych barw kwiatów, hojnie wszędzie porozstawianych.

Pomimo wspaniałości przyjęcia, panuje pomiędzy gośćmi chłód i sztywność pewna, niczem nie wytłomaczona. Kuzyn Feniks i major okazują najwięcéj ożywienia. Carker jednakowo do wszystkich się uśmiecha, panna młoda stanowi jednak dla niego w tym razie wyjątek, a gdy twarz jego ku niéj się zwraca, uśmiech jéj inny przybiera wyraz, ale rzadko się zdarza aby wzrok Edyty spotkał się z oczami Carkera.

Ku końcowi śniadania, gdy służba wyszła już z pokoju, lord Feniks podniósł się z miejsca. Wyglądał jakby nagle odmłodniały, twarz mu poczerwieniała, batystowe mankiety zakryły do połowy ręce jego chude jak piszczałki, a szam pan kurzył się z czupryny zapewne z żalu, że nic pod nią mądrego nie mógł napotkać.

— Na honor odezwał się, jakkolwiek zebranie dzisiejsze nosi cechę całkiem prywatną, nie od rzeczy będzie jednak, abym poprosił o udzielenie mi głosu, dla wzniesienia tego co zwykle zowiemy: zdrowiem solenizantów...... ej! nowożeńców chciałem powiedzieć.

Major objawia głosem nieco ochrypłym iż zamiar ten pochwala, toż samo daje poznać Carker, pochylając się kilkakrotnie w stronę lorda z przytakującem poruszeniem głowy, a lord napusza się i odetchnąwszy silnie mówi daléj:

— Zdrowie to, nie jest ściśle rzecz biorąc zdrowiem.... to jest.....

Tu lord Feniks zaciął się nagle nie wiedząc co ma daléj mówić, a major udając że rozumie wybornie mające nastąpić określenie, zawołał silnym głosem:

— Panowie i panie, proszę słuchać uważnie, dalszéj mowy szanownego lorda.

Carker uśmiechnął się pochylając głowę w sposób bardziéj jeszcze niż przedtem, lord więc rad nie rad przymuszony niejako do mówienia, podniósłszy oczy w górę i poruszywszy ramion jakby myślał: co ci ludzie chcą ode mnie? mówi jąkając się:

— Prawdę mówiąc.... przy uroczystości takiéj jak dzisiejsza, wolno nam odstąpić nieco od zwyczajów życia powszedniego..... Jakkolwiek nie byłem nigdy znakomitym mówcą, a nawet, w czasie kiedy zasiadałem w izbie gmin, zdarzyło mi się iż w jednym razie w którym się odezwałem dla popierania adresu, zostałem skazany na dwutygodniowe usunięcie od udziału w obradach.....

Major i Carker tak wyraźne okazali rozweselenie tym ustępem osobistych dziejów lorda Feniksa, że ten ostatni, zadowolony wrażeniem jakie sprawił widocznie na słuchających, zwrócił główne ku nim swą dalszą przemowę.

— Jakkolwiek, mówił daléj, mogłem w owym razie nieco zawinić, w ogóle jednak nie można mi zarzucić abym nie znał obowiązków na mnie spoczywających. Jestem w tym względzie prawdziwym Anglikiem; mojem zdaniem każdy Anglik mający obowiązek do spełnienia, powinien spełnić go jak najlepiéj. Otóż w dniu dzisiejszym, spotyka naszą rodzinę w osobie nadobnéj mojéj kuzynki którą... którą widzę... tu obecną...

Serdeczne oklaski zagłuszają na chwilę głos mówcy.

— ....Tu obecną,—powtarza lord Feniks, czując iż wypada położyć nacisk na wyrażenie tak ogólnem ocenione uznaniem, zaszczyt połączenia człowieka.... to jest z człowiekiem którego pociski pogardy nie zdołają nigdy.... jednem słowem, z przezacnym przy-

jacielem moim Dombeyem, jeśli mi wolno nadać mu to miano.....

To mówiąc, lord kuzyn kłania się uprzejmie Dombeyowi, który majestatycznie na tę grzeczność odpowiada, a każdy z obecnych wygląda wzruszony i zbudowany tym wzajemnym objawem.

— Nie znalazłem dotąd tyle sposobności ilebym tego pragnął, ciągnie daléj lord, zbliżyć się bardziéj do mojego przyjaciela Dombeya i poznać lepiéj wysokie przymioty zdobiące jego umysł i serce. Miałem bowiem to nieszczęście, — mówię tu językiem jaki był w użyciu w izbie gmin w czasach w których trzymano się lepiéj niż dzisiaj parlamentarnych zwyczajów...! miałem to nieszczęście... że.... nie znajdowałem się w ten samem co on miejscu ..

Niespodziewane to zakończenie przemowy lorda Feniksa i dowcipnie żartobliwy wyraz jaki twarz jego w téj chwili przybrała, wywołały tak szalony wybuch śmiechu u majora, że sąsiedzi jego zaczęli lękać się, czy czasem nie uległ spazmatycznemu napadowi.

— W każdym razie, to co wiem o moim przyjacielu Dombeyu, mówił daléj lord Feniks, tonem bardziéj poważnym,—to co wiem o nim, wystarcza aż nadto do przekonania, że jest to w całem znaczeniu tego wyrazu.... człowiek anglik. I jakkolwiek przebywałem przez lat kilka za granicą; nawiasem mówiąc zamieszkuję większą część czasu w Badenie, gdzie miło mi będzie przyjmować każdego z was panowie i panie i przedstawić was księciu,—jakkolwiek tedy mało tu bywałem obecny, tuszę sobie iż znam dostatecznie nadobną moją kuzynkę, aby być pewnym, że posiada wszystko czego potrzeba do uszczęśliwienia człowieka. Z tych więc powodów, winszuję rodzinie któréj jestem członkiem, nabytku człowieka takiego jakim jest Dombey. Jemu zaś winszuję połączenia się z osobą tak piękną i pełną przymiotów, jak moja kuzynka, i pozwalam sobie wezwać wszystkich tu obecnych do wypicia zdrowia téj przezacnéj pary, z życzeniem wszelkich dla niéj pomyślności.

Rozumna ta przemowa uczonego kuzyna Edyty zyskała poklask ogólny, Dombey podziękował mu w swojem i żony imieniu, major zaś w następstwie wiwatowego rozpędu, wniósł zdrowie przezacnéj pani Skewton, jako szlachetnego typu matki, godnéj podziwu całéj Anglji.

W kuchni tymczasem, cała służba zasiadła do stołu, lokaje raczą się szampanem jakby piwem w zwyczajnéj garkuchni.

Towlinson ma tymczasem małe zajście z młodszą. Ta ostatnia dowodzi, że śluby są zawczasu w niebie zapisane, Towlinson zaś twierdzi, że je raczéj ludzie układają i daje do zrozumienia, iż podejrzywa młodszą o zamiary tego rodzaju. Ona mu odpowiada z oburzeniem, że ma w Bogu nadzieję iż ją uchowa od związku z jakimkolwiek Towlinsonem. Dla uspokojenia obu stron, sędziwy marszałek dworu powstaje z miejsca i wznosi zdrowie pana Towlinsona, którego poznawszy bliżéj, potrzeba koniecznie szacować, a zarazem i zdrowie osoby przez niego wybranéj, życząc im obojgu wszelkiéj w życiu pomyślności. W ostatniéj części swéj przemowy, marszałek rzuca przelotne spojrzenie w stronę młodszéj. Towlinson dziękując w wyrazach pełnych uczucia, powstał na przewrotność przybyszów, wkradających się w łaski zaślepionych panów i zabierających chleb wiernym i wypróbowanym służącym. Mówiąc o tem, nadał swym oczom wyraz tak surowy i pełen znaczenia, że młodsza mało z trwogi spazmów nie dostała, ale na szczęście w téj właśnie chwili przyszła wiadomość, że państwo młodzi już odjeżdżają.

Powóz stał przede drzwiami; pani Dombey ukazała się na schodach u stóp których mąż już na nią oczekiwał. Florcia także zeszła z nią razem aby się pożegnać z ojcem i z tą co ją odtąd matką ma nazywać. Ale dla czegóż dreszcz zimny przejmuję Edytę? Czemuż się cofa, unikając uścisku młodéj dziewicy, jakby się go lękała?

Gdy powóz ruszył z miejsca, pani Skewton padła na wpół zemdlona na sofę, zalewając się łzami. Major usiłuje ją pocieszać, toż samo czynią inni goście, a uznawszy bezowocność swych usiłowań, wszyscy zabierają się do odejścia.

Noc już zapadła. Flora błąka się czas jakiś samotna, po wspaniałych komnatach domu, całkiem na nowo przystrojonego; potem wraca do swego pokoju, gdzie troskliwe starania Edyty nagromadziły wszystko, co zbytek wytworzył najbardziéj wygodnego i dla oka przyjemnego. Zdjąwszy śpiesznie strój weselny, młoda dziewica przywdziewa codzienne żałobne suknie i myśląc o bracie ukochanym, dla pamięci którego nosi to czarne ubranie, zasiada do czytania, głaszcząc Dyogenesa u nóg jéj leżącego. Ale myśli jéj nieustannie odbiegają. Dom ten wydaje się jéj teraz dziwnym jakimś i nieznanym, każdy szmer budzi w niem odgłosy które ją przerażają. Czuje jakiś ciężar ugniatający jéj piersi i nie wie czemu smutek tak głęboki ogarnął jéj serce. Po pewnym czasie, Flora zamyka książkę, Dyogenes widząc w tym jéj ruchu zwykłą zapowiednię chwili spoczynku, podnosi się i ociera głowę o ręce swéj pani. Ale przez czas jakiś Flora nie może widzieć go wyraźnie; przysłoniła go mgła łzawa wśród któréj brat i matka ukazują się w postaci aniołów, a także i Walter... biedny rozbitek, a może tam z niemi złączony już w niebie.

XIII.

Miesiąc czasu upłynął. Światła rozpalone we wszystkich pokojach domu Dombeya, rzucają aż na ulicę jasność niezwykłą. Ani jedno okno nie pozostało ciemnem, czerwonawe odblaski ognia płonącego w kominkach, igrają po obiciach i uwydatniają żywe barwy kobierców. W sali jadalnéj przygotowano już stół do obiadu, cztery tylko widać na nim nakrycia. Służba uwija się z pośpiechem, lada chwila bowiem powrót państwa Dombey jest spodziewany.

Ilekroć powóz jaki przejeżdża, służący biegną jedni do okien, drudzy ku schodom, a wszyscy wołają: To oni, już jadą!

Flora wyczekuje powrotu ojca i nowéj swéj matki z bijącem sercem, ale nie umiałaby powiedzieć, czy wzruszenie przyspieszające jego uderzenia, pochodzi od radości, czy od niepokoju. W każdym razie wzruszenie to ubarwia jéj lica rumieńcem i nadaje oczom blask niezwykły. Patrząc na nią, słudzy czynią pomiędzy sobą uwagę, że ich panienka dziwnie temi czasy wypiękniała.

Pani Skewton, gotując się do uściskania najdroższéj córki i ukochanego zięcia, przywdziała lekką bardzo strojną suknię z krótkiemi rękawami. Przybywszy już od kilku godzin do domu Dombeya, zajęła pokoje dla niéj przeznaczone. Opóźnienie obiadu wprawia ją w zły humor, czego nie potrzebuje ukrywać, będąc na ten raz bez świadków.

Turkot powozu daje się wreszcie słyszeć i przed domem ustaje. Otóż i oni! Towlinson otwiera spiesznie drzwi wchodowe, w które silnie młotkiem uderzono. Państwo Dombey wysiadają z powozu i wchodzą do domu prowadząc się pod rękę.

— Edyto moja najdroższa! woła od schodów głos wzruszony, o mój Dombeyu ukochany!

I po chwili, obnażone ręce pani Skewton oplatają szyję nowo przybyłych.

Flora zbiegła także do sieni, ale się nie zbliża; czeka aby przeminęły pierwsze uniesienia. Wtem, Edyta ją spostrzega i porzucając roztkliwioną matkę, powitawszy ją tylko pocałunkiem, biegnie ku Florze i przyciska ją z uczuciem do serca.

— Jak się miewasz, Floro? odezwał się Dombey podając rękę córce.

Gdy Florcia zbliżyła trwożnie ową rękę do ust swoich, oczy jéj napotkały wzrok ojca. Wzrok ten był bez wątpienia zimny i obojętny, a jednak zdało się Florze, że w nim dostrzega jakieś zajęcie, którego dawniéj nie bywało i serce jéj nagle żywiéj uderzyło. Mimo tego tą razą nie odważyła się spojrzeć na niego powtórnie, czuła tylko że wzrok ojca zwrócił się znowu ku niéj z tąż samą przychylnością. O jakąż radość uczuła wtedy, utwierdzając się w nadziei, że za pośrednictwem Edyty potrafi pozyskać serce ojca!

— Wszak nie długiego potrzebujesz pani czasu aby się przebrać? spytał Dombey żony.

— Będę za chwilę gotową, odpowiedziała, odchodząc do swoich pokojów.

— Siądziemy do stołu za kwadrans, rzekł zwracając się do służby.

Wydawszy rozkaz, Dombey udał się także do siebie, zmienić podróżne ubranie. Pani Skewton poszła z Florą do salonu, gdzie uznała za stosowne wylać kilka łez radości nad szczęściem córki, ocierając z wdziękiem oczy rogiem od haftowanéj chusteczki. Tak ją zastał Dombey, przy powrocie do salonu.

— Czy uważasz, kochany Dombeyu, rzekła do niego, jak ci ludzie którzy tu pracowali, wybornie wykonali nasze pomysły? Na prawdę, zrobili istny pałac zaczarowany z tego domu!

— W saméj rzeczy, wszystko jest jak się należy, odrzekł Dombey rozglądając się w około siebie. Rozkazałem aby nie szczędzono kosztu, sądzę zatem że zrobiono tu wszystko, co się tylko da zrobić za pieniądze.

— A czegoż one nie zrobią? kochany Dombeyu, rzekła z westchnieniem pani Skewton.

— Pieniądz, jest wszechmocny, wierzaj pani temu, odpowiedział tonem uroczystym, zwracając wzrok ku wchodzącéj żonie, ale Edyta nie wyrzekła ani słowa.

— Mam nadzieję, rzekł po chwili Dombey, wymawiając ta słowa z pewnym naciskiem, że zmiany jakie tu zaszły pozyskają pochwałę pani Dombey?

— Znajduję wszystko jak nie można lepiéj, odpowiedziała z zimną obojętnością.

Gdy to mówiła, dano znać że obiad jest podany. Dombey podał rękę pani Skewton, za niemi poszła Edyta prowadząc Florcię. Przeszedłszy z obojętnością przed wspaniałemi srebrami, zdobiącemi ściany jadalnéj sali, tak jak gdyby przechodziła koło kupy śmieci, zasiadła po raz pierwszy u mężowskiego stołu, martwa i zimna jak posąg.

Dombey nie miał temu nic do zarzucenia, i owszem cieszył się tem bardziéj chłodną postawą żony, że u niéj sztywność miała pewną wytworność i powagę, którą znajdował całkiem właściwą u osoby zajmującéj tak wysokie stanowisko. Przy stole tedy, czuł się powołanym do równéj w obejściu godności, skutkiem czego pierwszy ów obiad nosił cechę bardzo uroczystą, ale tak był zimny, jak gdyby się na niego same zamrożone składały potrawy.

Zaraz po herbacie, pani Skewton już od godziny, ziewająca po za wachlarzem, odeszła do siebie, składając się potrzebą spoczynku. Edyta wyszła także i więcéj się nie ukazała. Tym sposobem, Flora

wróciwszy z robótką do salonu, zastała tam już tylko Dombeya, przechadzającego się w milczeniu po salonie.

— Przepraszam bardzo ojca, rzekła zatrzymując się na progu, — czy już mam odejść do siebie?

— Nie, -- odpowiedział, patrząc na nią przez ramię; możesz tu wchodzić i odchodzić kiedy ci się spodoba. To nie jest mój pokój.

Flora siadła na uboczu przy małym stoliku; po raz to pierwszy w życiu znajdowała się sam na sam z ojcem. Drżała i oczy jéj łzami zachodziły, ale bojąc się urazić go, powstrzymała ich objawy i pochylając głowę nad haftem udawała, że nim wyłącznie była zajętą. Dombey, przeszedłszy się jeszcze wzdłuż i wszerz po pokoju, usiadł wreszcie w wygodnem krześle w kącie salonu umieszczonem, i zabrał się do drzemania.

Nie małą to już było uciechą dla Flory, że mogła pozostać w pokoju i czuwać nad spoczywającym ojcem. Część twarzy miał zakrytą chustką i to jéj dodawało odwagi, od czasu do czasu, spojrzeć na niego.

Ale jakżeby się przeraziła, gdyby wiedziała że oczy owego ojca tkwiły w niéj nieustannie, że chustka bądź trafem, bądź z umysłu tak leżała na jego twarzy, że wzroku mu nie zasłaniała; że ilekroć spojrzenie córki tak rozrzewniająco wymowne padło na zaciemniony zakątek w którym siedział napotykało zawsze jego spojrzenie; że gdy głowę pochylała nad robotą, on oddychał swobodniéj, nie odwracając jednak wytężonego wzroku, gdyż oczy jego jakby zaklęte czarem jakim, nie mogły się oderwać od białego czoła i od drobnéj rączki Flory.

Cóż więc myślał podczas tych ukradkowych śledzeń? Jakiegoż rodzaju było wzruszenie, którego doznawał, badając bacznie postać i ruchy téj córki tak długo zapomnianéj? Czy dostrzegał wyraz wyrzutu w téj twarzy spokojnéj i w tem pogodnem wejrzeniu? Czy też może poczynał rozumieć, że Flora posiadała do jego miłości prawa, dotąd przez niego nielitościwie i okrutnie odpychane?

Bywają chwile rozczulenia w sercach ludzi najtwardszych i najchłodniejszych, jakkolwiek pozostają one na zawsze dla drugich tajemnicą. Któż wie z resztą czy widok Flory, już w pełnym piękności rozkwicie, nie zbudził także pewnego uczucia dumy w wyniosłéj duszy Dombeya? W duszy podobnéj, duma nader silnie wywołać mogła wrażenia, a może, bo któreż serce nie ma jakiejś odrobiny tkliwości, zastanawiał się nad tem, że miał oddawna pod ręką szczęście życia rodzinnego, że anioł jego domowy tulił się mu do kolan, a on go odepchnął w nieugiętéj swéj wyniosłości i szukał gdzieindziéj podpory? Może czytał w téj chwili w oczach córki milczącą prośbę z wyrzutem połączoną: „Ojcze, w imieniu tych na których konanie patrzałam, w imieniu cierpień lat moich dziecięcych, przez pamięć spotkania naszego w owéj nocy, i tego wykrzyku boleści którego wtedy serce moje nie zdołało powstrzymać, ojcze! zwróć się ku mnie, szukaj schronienia w mojéj miłości, zanim nie będzie zapóźno!" Bądź co bądź, im dłużéj wpatrywał się Dombey w córkę, tem życzliwszego nabierały oczy jego wyrazu. Postać jéj zlewała się z postacią zmarłego dziecięcia, tak iż wreszcie, trudno mu było jedną od drugiéj odróżnić. Była chwila w któréj widział Florę pochyloną nad łóżeczkiem brata, już nie jako odbierającą ojcu serce Pawełka, ale jako domowego anioła opiekuńczego i już chciał zawołać:—chodź tu Florciu w objęcia, kochającego cię ojca, gdy w tem wstrzymał je odgłos kroków idącéj osoby po schodach.

Była to pani Dombey. Weszła w lekkiem rannem ubraniu, którem zastąpiła świetny stroj, jaki miała przy obiedzie a włosy rozpuszczone, swobodnie na ramiona spadały.

— Droga moja Florciu, rzekła siadając przy niéj, szukałam cię wszędzie.

To mówiąc, pochyliła się ustami dotknęła ręki młodéj dziewczyny, któréj kibić czule obejmowała. Zaledwie mógł obecnie Dombey poznać żonę, tak zmieniona była do niepoznania. Nie sam tylko jéj uśmiech wydawał mu się nowym ale nawet głos, postawa, blask oczu, żywe zajęcie i chęć spodobania się czego przedtem nigdy u niéj nie widział.

— Ciszéj matko droga. Ojciec śpi, szepnęła Flora.

— Nie myślałam abyś tu była Florciu. Wyszłam tak wcześnie z salonu, mówiła daléj, w zamiarze porozmawiania trochę z tobą. Szukałam cię w twoim pokoju, ale nie było tam mojéj drogiéj ptaszyny.

Z pewnością, gdyby drobną ptaszynę w rękach trzymała, nie tuliła by jéj łagodniéj i czuléj do serca, jak w téj chwili przytulała Florę.

— Chodź ze mną, kochanko moja, rzekła potem.

— Zdaje mi się że mogę odejść, odpowiedziała Flora, bo ojciec gdy się przebudzi, zapewne nie postrzeże méj nieobecności.

— Czy sądzisz że o tem pomyśli? spytała Edyta patrząc jéj w oczy.

Flora spuściła wzrok ku ziemi i wstawszy, poczęła składać przybory od roboty, Edyta wzięła ją pod rękę i wyszły wspierając się wzajemnie.

Ruchy nawet Edyty zdawały się jakieś dziwne i całkiem nowe Dombeyowi, gdy wzrok jego przeprowadzał obie kobiety aż do drzwi pokoju.

Trzecia godzina po północy wybiła, zanim opuścił ciemny swój zakątek. Przez cały czas ten, oczy jego nie oderwały się od krzesełka na którem siedziała przedtem Flora. Płomień dopalających się świec stał się stopniowo coraz bardziéj drżącym, wreszcie noc zupełna zapanowała w pokoju. Czoło Dombeya zaległy nie mniéj gęste chmury od ciemności, która go otaczała...

Flora i Edyta, zasiadłszy przed kominkiem w odosobnionym pokoju w którym Pawełek zakończył życie, rozmawiały z sobą do późna, naprzód o zajęciach i o książkach Florci, potem o sposobie w jaki czas spędzała od wyjazdu Edyty. Mówiąc o tem, młoda dziewczyna wróciła myślą do przedmiotu najżywiéj ją obchodzącego; oczy jéj zaszły łzami i rzekła.

— O matko, jakże ciężki smutek dotknął mię po twojem wyjeździe.

— Ciężki smutek? Cóż to takiego?

— Walter, biedny Walter zginął na morzu, odpowiedziała Flora, zakrywając twarz rękami i łzy jéj popłynęły strumieniem.

— Kimże był ów Walter, drogie moje dziecię? zapytała Edyta, powiedz mi, czemże był on dla ciebie?

— Był mi bratem ukochanym. Po śmierci drogiego mojego Pawełka, przyrzekliśmy sobie nawzajem braterskie przywiązanie. Znałam go od dawna małą jeszcze będąc dziewczynką.... Znał Pawełka i był bardzo od niego kochany. Umierając, Pawełek powiedział: „Ojcze pamiętaj o Walterze, ja go bardzo kocham! Musiano mu wtedy sprowadzić Waltera bo prosił o to bardzo, a ojciec nigdy mu się w niczem nie sprzeciwiał. Ostatnie to widzenie z biednym Walterem, odbyło się w tym pokoju.

— A czy pamiętał twój ojciec o téj prośbie? spytała surowo Edyta.

— Czy pamiętał...? Dał mu posadę jakąś na Barbadach, i biedny Walter zginął przy rozbiciu się okrętu, który go tam odwoził.

— Czy wie pan Dombey, że Walter już nie żyje? spytała znowu Edyta.

— Nie umiem ci tego powiedzieć ach moja droga matko, zawołała Florcia, tuląc się do Edyty, wiem dobrze żeś dostrzegła....

— Co takiego moje dziecko?—zapytała Edyta, a widząc że się Flora waha, mówiła daléj.

— Opowiedz mi naprzód wszystko co się tyczy Waltera, opowiedz mi całą twoją z nim znajomość od początku do końca.

Flora to uczyniła. Edyta słuchała z uwagą, trzymając jéj rękę w swoich, a gdy młoda dziewica mówić przestała, przez chwil kilka trwało milczenie. Edyta pierwsza je przerwała, pytając:

— Cóż więc takiego domyślasz się żem dostrzegła?

— Że nie jestem, że nie byłam nigdy kochaną od ojca, odpowiedziała Florcia tuląc znowu głowę do jéj piersi. Nie potrafiłam pozyskać jego serca, pewno złą drogę do tego obrałam, ale nie miałam nikogo coby mi lepszą wskazał. Matko, naucz mię co mam zrobić aby mię ojciec pokochał? Któż lepiéj od ciebie potrafi mnie tego nauczyć?

Edyta blada jak gdyby życie już z niéj ustąpiło, patrzała na płaczącą Florę, usiłując zachować na twarzy wyraz zupełnego spokoju. Potem, ucałowawszy młodą dziewczynę, oswobodziła się zwolna od jéj uścisku i podniosłszy się, stanęła przed nią sztywna i nieruchoma jak statua wykuta z kamienia.

— Floro, rzekła głosem stłumionym, ty mię nie znasz; niech cię Bóg uchowa, abyś się ode mnie uczyła...

— Czego? spytała zdziwiona Flora.

— Kochać, lub też być kochaną. Nie otrzymasz ode mnie podobnéj nauki. Jesteś mi drogą nad wszelki wyraz, nie myślałam nigdy abym mogła kogo w tak krótkim czasie tu pokochać, ilem ciebie pokochała.

Widząc że Flora coś powiedzieć chciała, wstrzymała ją skinieniem ręki.

— Będę ci zawsze najszczerszą przyjaciołką, mówiła daléj. Nikt pewnie nie potrafi kochać cię więcéj jak ja, choć może kto inny potrafi lepiéj tego dopełnić. Możesz złożyć we mnie całą ufność twego niewinnego serca. Ojciec twój mógł był znaleść wiele kobiet lepszych ode mnie pod każdym względem, ale z pewnością żadna inna, zostawszy żoną jego nie czułaby w sercu więcéj ode mnie do ciebie przywiązania.

— O wiem to dobrze, droga matko, zawołała Flora. Uczułam to od owego pierwszego dnia, tak szczęśliwego.....

Mimowolnie, Edyta powtórzyła ścicha: „tak szczęśliwego!" potem mówiła znowu.

— Jakkolwiek nie mam w tym względzie żadnéj zasługi, zanim cię bowiem poznałam, nie myślałam o tobie, wszelako zachowaj mi droga Florciu, nieoceniony skarb twojéj przyjaźni i zaufania. Chcę ci dać dowód mojéj szczerości .. serce ciągnie mię ku tobie... a jednak w tym pierwszym dniu mojego pobytu w tym domu, odzywam się po raz pierwszy i ostatni w ten sposób do ciebie.

Nie wiedząc sama dla czego, Flora uczuła pewną trwogę, mimo jednak tego oczy jéj nie mogły się oderwać od pięknéj twarzy ku niéj zwróconéj.

— Nie szukaj nigdy we mnie tego co tam nie istnieje, ciągnęła daléj Edyta kładąc rękę na sercu. Obojętność twego ojca dla ciebie, nie uszła mojéj baczności, ale na to tylko ci tyle mogę powiedzieć, że nikt mniéj ode mnie nie jest w możności udzielenia w tym razie jakiejkolwiek bądź pomocy. Nie pytaj mię dla czego; nie wspominaj więcéj, ani o téj rozmowie, ani o mężu moim. W tym względzie, powinno mi [illegible]zy nami panować nieprzerwane grobowe mil[illegible]nie.

Podczas gdy Edyta mówiła, oddech zamierał w piersi Flory. Straszliwe jakieś przeczucia odsłaniały jéj niewyraźną jeszcze, ale okropną prawdę, ze wszystkiemi jéj następstwami. Na wpół już wierząc w nią, na wpół wątpiąc jeszcze cofnęła się przerażona przed tem nowem nieszczęściem. Skończywszy mówić Edyta pozostała czas jakiś milcząca, z twarzą zakrytą rękami, wreszcie wstała, ucałowała Florcię z wielką czułością i wyszła, nie oglądając się po za siebie.

Wkrótce po powrocie nowożeńców z podróży, Dombey postanowił zmienić dotychczasowe swe życie samotne, i rozpocząć nowe z całym przepychem posiadanego bogactwa.

Ułożono tedy cały szereg obiadów i wieczorów, na które zaproszenia rozesłano pomiędzy wszystkich znajomych.

Pierwszy z owych wieczorów zakończył się właśnie, w chwili gdy znowu zaglądamy do salonów Dombeya. Widzimy w nim już tylko cztery osoby: Edytę z matką, i gospodarza domu rozmawiającego na uboczu z Carkerem. Po chwili, ten ostatni zbliżył się w pokornéj postawie ku paniom, aby je pożegnać.

— Spodziewam się, rzekł, że zajęcia pani Dombey podczas tego uroczego wieczoru, nie utrudziły ją zbytecznie.

— Pani Dombey, odezwał się cierpko jéj małżonek, tak starannie unikała dzisiaj wszelkiego utrudzenia, że możesz o jéj zdrowie zupełnie być spokojnym. Potem zwracając się do Edyty dodał już z widoczną wymówką: pani zaś racz pamiętać, że przyjmowanie przez nią przyjaciół przeze mnie sproszonych, z większą nieco powinno było dopełnione być uprzejmością. Pomiędzy bowiem osobami którym spodobało ci się okazywać tak wyraźne lekceważenie, znajdowały się takie, których odwiedziny prawdziwym były dla pani zaszczytem.

— Czy wiesz pan o tem że nie jesteśmy sami? odrzekła Edyta patrząc mu w oczy.

— Wiem a nawet, pozostań tu daléj Carkerze, odrzekł Dombey zatrzymując już przy drzwiach swego podwładnego. Wiesz pani o tem dobrze, że pan Carker posiada zupełne moje zaufanie, dla tego raz jeszcze powtarzam prośbę, abyś pani w przyszłości pamiętała, że osoby które tu dziś widziałaś zebrane, mnie nawet samemu czynią zaszczyt obdarzając swemi odwiedzinami.

To rzekłszy, Dombey wyprostował się o ile tylko mógł najlepiéj, i przybrał bardzo znaczącą postawę.

— A ja jeszcze raz pytam się pana, powtórzyła Edyta z jednem zawsze wyzywającem i pogardliwem spojrzeniem, czy wiesz że nie jesteśmy sami?

— Niech mi szanowni państwo raczą darować, odezwał się Carker, podchodząc nieco bliżéj, jeśli śmiem się odezwać. Nieporozumienie powstałe z tak błahego powodu...

Pani Skewton, któréj wzrok śledził bacznie twarz córki, przerwała mu w téj chwili.

— Droga Edyto, rzekła, i ty kochany Dombeyu; zacny nasz przyjaciel pan Carker, bo wszakże mogę go tak nazwać, wyraził się słowami które miałam na ustach. Rzeczywiście w obec miłości jaką tchną serca wasze, każde nieporozumienie musi być błahem, nic nie znaczącem.

— Wskazałem pani Dombey, rzekł mąż Edyty, tonem bardziéj niż kiedykolwiek uroczystym, co mię razi w jéj postępowaniu już u samego wstępu wspólnego naszego pożycia; proszę ją zatem aby się z tego poprawiła... Dobranoc ci Carkerze, dodał Dombey, dając mu ręką znak pożegnania.

Carker skłonił się głęboko dumnéj Edycie, wzrok płomienny tkwił w twarzy małżonka; potem zbliżając się do kanapy na któréj leżała pani Skewton, poniósł do ust z uszanowaniem, rękę podaną mu z najwdzięczniejszym uśmiechem. Wkrótce zaraz za Carkerem, wyszła z pokoju i pani Skewton, małżonkowie zatem pozostali sami. Gdyby wtedy Edyta choć jednem słowem przerwała milczenie, dała by Dombeyowi sposobność ponowienia wymówek, ale niewysłowiona pogarda z jaką spojrzawszy na niego odwróciła się ku oknu, odjęła mu wszelką do tego sposobność.

Nazajutrz, kiedy panie zebrane były w salonie, wybierając się na jakąś przejażdżkę, służący wszedł i podał Edycie kartę wizytową.

— Powiedz, że zaraz wyjeżdżamy, rzekła nie spojrzawszy na nią.

— Ależ poczekaj no Withers, zawołała pani Skewton, podaj mi tę kartę, Trzeba przecież zobaczyć kto to taki. Ach! to pan Carker, ów jegomość tak uczuciowy!

— Wyjeżdżam na chwilę — powtórzyła Edyta, głosem tak stanowczym, że służący wyszedł co prędzéj z salonu, śpiesząc się z odniesieniem gościowi odmownéj odpowiedzi. Wkrótce jednak ukazał się znowu otworzywszy drzwi nieśmiało.

— Przepraszam jaśnie panią, rzekł, ale pan Carker pokornie uprasza, jeśli można, aby mógł wejść na chwilkę. Ma jakiś bardzo ważny interes.

— Sądzę kochana Edyto, odezwała się matka, że należało by go przyjąć.

— Prosić przerwała sucho Edyta, potem dodała marszcząc brwi i patrząc matce w oczy.

— Jeśli go zapraszasz matko, w takim razie powiedz mu, żeby cię odwiedzał w twojem własnem mieszkaniu.

— Czy.... czy mam odejść? spytała zmięszana Flora.

Edyta odpowiedziała tylko skinieniem głowy.

Po odejściu Flory, Carker wszedł do salonu i złożywszy obu paniom jak najuniżeńszy ukłon, rzekł jak najsłodszym głosikiem. Przepraszam za moją śmiałość, ale mam nader ważny interes, o którym chciałbym się z samą panią Dombey rozmówić.

Pani Skewton zabierała się już do odejścia, ale Edyta ją zatrzymała.

— Idzie tu o pannę Florę, odezwał się Carker, któréj położenie było dotąd bardzo nieszczęśliwem. Trudno mi wchodzić w bliższe szczegóły, odwołując się jednak do przywiązania i czci któréj tyle dałem dowodów panu Dombey, odważę się powiedzieć — wszakże tem nie obrażę uczuć pani? że panna Flora była w opłakany sposób zaniedbaną przez ojca.

— Wiem o tem odrzekła sucho Edyta.

— Doprawdy wiesz pani o tem? zawołał Carker z udanem zdziwieniem. W takim razie, z pewnością wiadomem jest także pani, jak szlachetne powody dały początek téj chłodnéj obojętności.....

— Możesz pan pominąć te uwagi, przerwała mu cierpko Edyta.

(d. c. n.)

POGADANKI NAUKOWE.

DZIEJE WĘGLA

OD

FORMACYI WĘGLOWEJ AŻ DO NASZYCH CZASÓW.

(Dalszy ciąg).

VI.

Gdy zima pokryje ziemię śniegowym swym całunem, powietrze mroźne i ostre, śnieg gęsty pruszy, wiatr z gwizdem obija się o szyby, jakże szczęśliwy kto w wieczór taki pozostać może w domu, i wygodnie rozsiadłszy się w fotelu, rozkoszować się płonącym na kominku ogniem. Ileż to z was, Czytelniczki, siedziało tak nie raz z książką lub robotą w ręku? Lecz powoli blask niebieskawych płomyków, zaczął magnetycznym urokiem przyciągać i pochłaniać całą uwagę waszą, książka czy robota wypadła z ręki, i zatonęłyście w marzeniach czy zadumie przerywanéj trzaskiem drzewa, broniącego się od palących uścisków płomienia.

Voltaire lubił namiętnie siadać i rozmyślać przy kominkowem ogniu, a trawiony nienasyconą żądzą wiedzy, nie raz stawiał sobie pytanie które zamieścił także w swoim „*Dykcjonarzu filozoficznym*": Któż potrafi mi powiedzieć, jakim sposobem szczapa palącego się drzewa, zamienia się w rozżarzony węgiel? Ale wtedy ani on sam pomimo całéj swéj mądrości, ani żaden z ówczesnych uczonych, nie był w stanie dać zadawalniającéj odpowiedzi.

Dziś, dzięki olbrzymiemu postępowi nauki, każdy może najzupełniéj pod tym względem zadowolnić ciekawość swoją, a jednak na tysiące osób korzystających z przyjemności i ciepła kominkowego ognia, jakże to mało zastanawia się nad odbywającym się w oczach ich fenomenem palenia, i uważając to za rzecz bardzo prostą, nie łamią sobie głowy nad zbadaniem tak pospolitego faktu.

I tak podobno zawsze dzieje się na świecie: jeśli ujrzemy coś niezwykłego, niespodziewanego wtedy starając się zbadać przyczyny, żądamy od nauki aby odkryła nam swe tajniki. Ale jeśli fenomen choćby najważniejszy nieustannie powtarza się lub nasuwa nam przed oczy, nie zdoła już tem samem zbudzić naszéj ciekawości i patrzymy nań obojętnie, nie myśląc badać natury.

Mam więc opisać wam, Czytelniczki, co jest to ciepło kominkowe tak błogie sprawiające wam uczucie. Otóż—tylko proszę nie brać tego za żart, czy ciepło to pochodzi od węgla? Bynajmniéj, pochodzi od słońca a co dziwniejsza od słońca ogrzewającego kulę ziemską przed tysiącami wieków, w epoce powstawania pokładów węglowych.

Prawda, że to trochę dziwne na pozór ale w gruncie rzecz bardzo prosta. Dla czegóż tedy węgiel pali się na kominku? Ponieważ powietrze podsycające ognisko oprócz innych ciał, zawiera w sobie tlen. Węgiel pali się, ponieważ kombinuje się z tym tlenem i ponieważ tworzy się gaz, kwas węglany, który rozchodzi się w powietrzu.

Wyjaśnienie to zrozumimy łatwo, jeśli przypomnimy sobie cośmy mówili w ustępie o *związkach węgla Tlen* i *węgiel* dla skombinowania się z sobą, wymagają dość stosunkowo wysokiéj temperatury. Wiadomo, że chcąc aby węgiel palił się w powietrz

trzeba go pierwéj rozgrzać, lecz jeśli rozżarzymy choćby najmniejszą jego cząsteczkę, zaraz zaczyna się kombinacja jego z węglem, a powoli wywiązuje się tak wielka ilość ciepła, że jeśli tylko znajduje się dostateczna ilość powietrza, palenie już samo przez się daléj odbywać się będzie.

Fakt powiększania się ciepła przez kombinację, ma miejsce we wszystkich kombinacjach tylko w nierównym stopniu, w niektórych razach ilość wydobywającego się w ten sposób ciepła jest tak słaba, iż jéj uczuć nie możemy.

Ale czy ilość ciepła jest mała czy wielka, uważajmy przedewszystkiem że koniecznie przy każdéj kombinacji wywiązuje się ciepło, gdyż właśnie na mocy téj zasady dowiedziemy, iż ciepło palących się węgli pochodzi od słońca.

Możnaby mniemać, że, jak to powiedzieliśmy wyżéj mówiąc o węglu, chcąc aby dwa ciała skombinowały się z sobą potrzeba udzielić im pierwéj pewną ilość ciepła, tak jednak nie jest. Weźmy n. p. dwa tak powszechnie znane ciała, *jod i fosfor* i połóżmy je obok siebie na spodeczku, tak żeby nie stykały się z sobą, wtedy leżeć będą spokojnie i żaden objaw nie nastąpi. Lecz jeśli tylko raptem przysuniemy je do siebie, natychmiast z pośród nich wybucha fioletowy płomień i wydobywa się tak wielka ilość ciepła, iż fosfor pali się rzucając na wszystkie strony gorejące blaski, jod zaś ulatnia się i sprawia piękne fioletowe zabarwienie płomienia. Stopniowo, powoli ogień zaczyna utracać swój piękny blask, siła reakcji słabnie i po skończonem doświadczeniu na spodeczku zamiast dwóch ciał położonych pierwotnie, znajdziemy substancję brunatną przedstawiającą zupełnie odmienne własności i wejrzenie, niż jod i fosfor. Jest to kombinacja dwóch materji, to tak łatwe doświadczenie przekonywa nas niezbicie o wydobywaniu się ciepła przez dokonaną kombinację. Wróćmy teraz do naszego założenia.

Wiemy już, że kiedy węgiel łączy się z tlenem, ma miejsce wydobywanie się ciepła, toż samo się dzieje jeśli tenże węgiel łączy się z jakiem bądź innem ciałem.

Przypuśćmy teraz, że z jakichkolwiek powodów, węgiel i tlen muszą się rozłączyć, cóż wtedy nastąpi? Oto obydwa ciała odbiorą właściwą sobie ilość ciepła jaką postradały przez kombinację. Chcąc zniweczyć kombinację i odrobić co się zrobiło, trzeba każdemu ciału zwrócić właściwą mu część wydzielonego uprzednio ciepła.

Zadaniem liści roślin jest pochłanianie *kwasu węglowego*, ktory jest obecny w atmosferze. Rozkładają go w głębi swych zielonych komórek, a rozkład ten może odbywać się tylko w dzień pod wpływem słonecznego światła i ciepła. Zobaczymy jeszcze jak pierwiastki kwasu węglanego tlen i węgiel, zostają oddzielone i rozłączone, tlen wraca do otaczającego powietrza, a węgiel utrwala się w roślinach które go sobie przyswajają. Wszystkie tkanki, soki, wszystkie organa roślin po większéj tedy części wytwarzają się z węgla, materja ta stanowi szkielet roślin, podobnie jak węglan wapna szkielet człowieka.

Z tego cośmy powiedzieli łatwo pojąć, czemu rozkład kwasu węglanego w roślinach we dnie tylko się odbywa, ponieważ do rozkładu tego koniecznie potrzeba ciepła, a jedno tylko słońce jest naturalnem źródłem, mogącem roztaczać to ciepło na powierzchni ziemi.

Toż samo miało miejsce i w epoce węglowéj. Rośliny ówczesne oddychały jak i dzisiejsze, a nawet daleko silniéj, z powodu wielkiéj ilości kwasu węglanego zawartego wtedy w atmosferze, i dla tego też zatrzymywały w swych tkankach wielką ilość węgla, a tem samem zapożyczały od słońca ogromną ilość ciepła, którą następnie przekazywały węglowi.

Dziś wiemy już, że później rośliny te zagrzebane w łonie ziemi już to przez nagłe kataklizmy, już przez powolne przekształcenia rozkładały się powoli, daléj znowu obce węglom materje łączyły się w nowe kombinacje, a osamotnione węgle wytworzyły pokłady które wyzyskujemy obecnie.

Paląc te węgle znowu łączemy je z tlenem, znowu więc wydzielają z ognisk naszych toż samo ciepło, jakie przed secinami wieków zapożyczyły od słońca. Daléj tenże węgiel paląc się i oddając ziemi to ciepło wzięte od słońca, wprawia w ruch maszyny parowe, oświeca nasze miasta, tworzy rośliny i zwierzęta służące nam na pokarm, to daje nam łatwo zrozumieć znaną allegorję, że Prometeusz chcąc dopomódz ludziom ukradł słońcu jeden z jego promieni.

Fizycy tegocześni wykazali, że ruch jest tylko przeobrażeniem się ciepła, co usprawiedliwia twierdzenie, że słońce jest źródłem życia na całym wszechświecie i potwierdza słowa genialnego Stephenson'a, który patrząc na biegnącą lokomotywę i wagony zawołał w uniesieniu: „Cały ten pociąg słońcu bieg swój zawdzięcza!"

VII.

Wiadomo powszechnie, że rośliny oddychają zarówno jak ludzie i zwierzęta, ta tylko zachodzi różnica, że wdychają one gaz nie tylko niepożyteczny, ale szkodliwy dla nas, to jest *kwas węglany*, który nieustannie wydzielamy z siebie.

Oczyszczając więc powietrze z gazu szkodliwego dla życia, rośliny zbawienne bardzo mają zadanie, które spełniając zarazem własne swoje utrzymują życie.

Wiadomo także, że oddychanie zwierząt nadzwyczaj zatruwa powietrze, albowiem wdychają one tak niezbędny do życia *tlen*, a wyziewają zabójczy *kwas węglany*.

Według obliczeń, sam rodzaj ludzki pochłania rocznie 160 miliardów metrów sześciennych tlenu, zwierzęta zaś zużywają cztery razy tyle. Daléj każdy człowiek wyziewa dziennie w powietrze 250 gram kwasu węglanego, co czyni prawie 75 gram węgla opałowego, jeden z uczonych francuzkich obliczył, że oprócz ogromnéj massy tego kwasu, wyziewanéj przez zwierzęta, sama ludność Francji zatruwa powietrze 2,500,000 tonami tegoż kwasu.

To tak groźne przesycanie powietrza kwasem węglanym, zagrażałoby zniweczeniem życia zwierzęcego gdyby Przedwieczna Mądrość nie przedstawiła zaradczego środka, a tym jest bogata roślinność. Każde drzewo, każda roślina, jest jakby *maszyną do oczyszczenia powietrza.*

Aby rośliny mogły żyć i wzrastać, potrzebują wielkiéj ilości węgla, i dla tego wchłaniają kwas węglany zawarty w otaczającem ich powietrzu, zatrzymują go w swéj tkance, a wyziewają tlen. Tym to sposobem oczyszczają one atmosferę i przywracają jéj równowagę; według p. de Broguart równowaga ta jest obecnie tak doskonałą, iż rośliny zwracają powietrzu takąż ilość tlenu, jaką z niego zabierają zwierzęta.

Ale zbawienne to oddziaływanie roślin, tylko pod wpływem światła odbywać się może, gdyby słońce nagle przyświecać przestało, życie roślinne musiałoby ustać, i ziemia pogrążona w ciemnościach, postradałaby swój piękny zielony kobierzec.

W nocy, oddychanie roślin innym odbywa się trybem, w téj porze zarówno jak zwierzęta pochłaniają one żywotną część powietrza, i wszystkiemi porami wyziewają kwas węglany. Jeśli w małym pokoiku ustawimy wiele bardzo roślin, powietrze przez jedną noc będzie równie zanieczyszczone, jak gdyby w nim spała równa liczba ludzi.

Lecz to wyziewanie nocne nie niweczy błogich skutków działalności roślin pod wpływem światła, gdyż wydzielana wtedy ilość tlenu przewyższa znacznie ilość kwasu węglanego, wydzielanego w nocy. Tak więc roślinom powierzyła przyroda ważne zadanie czuwania i otrzymywania równowagi atmosfery, i gdyby mógł być wypadek żeby jednocześnie znikły z wszechświata—z kolei, w pewnym danym czasie, życie zwierzęce także ustaćby musiało. Jednakowoż atmosfera zawiera tak wiele tlenu, iż według obliczeń chemika Dumas, następstwo to dopiero w kolei wieków wywiązaćby się mogło. Uczony ten utrzymuje: iż trzebaby co najmniéj 800,000 lat, żeby wszelkie na kuli ziemskiéj znajdujące się zwierzęta, mogły pochłonąć w zupełności tlen zawarty w atmosferze, a najczulsze, najdoskonalsze przyrządy fizyczne, zaledwie po upływie 10,000 lat, mogłyby wykazać zachodzącą różnicę. (¹)

Uczone badania profesora Liebig'a wykazały, że więcéj niż od 2000 lat, chemiczna natura powietrza nadzwyczaj małéj tylko uległa zmianie. Wziął on jedno z owych małych szklannych naczyń, w których damy rzymskie łzy swoje zbierały: było ono do połowy tylko napełnione, szczelnie opakowane opieczętowane i zamknięte w trumnie zmarłego; gdy po rozbiciu łzawnicy uczony rozebrał zawarte w niéj powietrze, przekonał się że skład jego nie różnił się od obecnéj atmosfery.

Drobiazgowe doświadczenia p. Lacreze Fossat, dozwoliły mu oznaczyć stosunek gazu oddychalnego, jaki niektóre rośliny udzielają powietrzu. Przekonał się że w przeciągu 12 godzin, spodnia strona szerokich liści lilji wodnéj, unoszących się po nad wodą, wydziela 17 centylitrów tlenu. (²) Według jego obserwacji, jedna stopa téj rośliny, złożona tylko z 15 liści, dostarcza powietrzu, podczas pięciu miesięcy letnich, 535 litrów tegoż gazu.

Z tego możemy brać miarę, jak wielką liczbę tlenu wydzielać muszą wielkie drzewa.

Powietrze jest więc niewyczerpanym zbiornikiem, z którego rośliny zaczerpują węgiel, tak niezbędny im do życia. Zastanawiając się nad olbrzymią roślinnością pokrywającą kulę ziemską, a szczególniéj niezmierzone przestrzenie Nowego Świata, obliczono w przybliżeniu jaka też może być ilość węgla zawartego w atmosferze. I tak biorąc za normę przypuszczenie, że atmosfera ziemska zajmuje wysokość równającą się 19 milom, obliczono że zawiera 900 miljonów kilogramów węgla.

Przeciw temu obliczeniu byłoby wiele do powiedzenia, lecz tu na to tylko zwrócimy uwagę, że powietrze zawiera w sobie ogromną ilość węgla istniejącego w postaci kwasu węglanego, tak więc węglowi to zawdzięczamy bogatą roślinność zdobiącą naszą ziemię, a tem samem i pożywienie tak nasze jak i wszelkich zwierząt.

(d. c. n.)

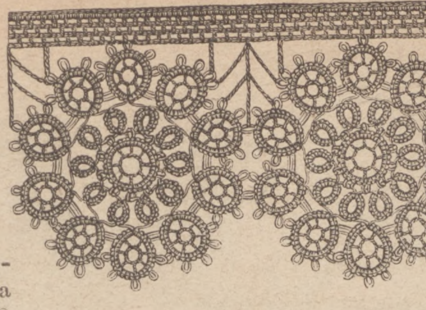
¹) Essai de statique chimique des êtres organisés.—Paris, 1842 p. 18 p. Dumas.

²) Centylitr ¹/₁₀₀ kwarty.

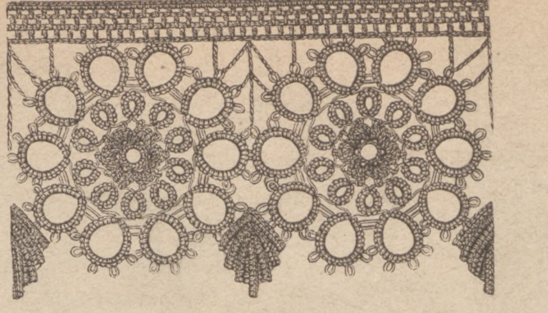
Opisy do N. 10.

N. 1 — 2. Dwa kwadraty.

Kwadraciki te, o których wspomnieliśmy w przeszłym N. Tygodnika przy opisie pokrycia na stolik ryc. N. 8 przydać się mogą także do ozdoby innych robót. N. 1 podaje wzór kwadratu z siątki gipiurowéj, N. 2 przedstawia ładny kwadrat, łatwą szydełkową robotą i gwiazdek w kratach z pleconki mignardise.



N. 3. Koroneczka z frywolitek do kołnierzyków, rękawków i t. d.



N. 4. Koroneczka z frywolitek i roboty szydełkowéj do kołnierzyków rękawków itd.

N. 3 — 4. Dwa oszycia do kołnierzyków, szmizetek i. t. p.

Gwiazdki frywolitowe spajane ściegiem koronkowym i szydełkową robotą.

Skrócenia: pod: wę.—podwójny węzełek; p: pikot.

N. 3. Oszycie z gwiazdek
spajanych ściegiem koronkowym.

Każda gwiazdka zaczyna się od środkowego kółka złożonego z pod. węz. i 9 p. otoczonych 9 małemi owalami z 8 pod. węz. i 1 p. w pośrodku. Owale zakończające gwiazdkę, połączone z sobą za pikoty boczne, liczą po 22 pod. węz. i 7 pikotów. Łączenie gwiazd i przymocowanie do brzeżka szydełkowéj roboty wskazuje N. 3. Pajączki w środku owali odrabiają się cieniutką nitką.

N. 4. Oszycie z gwiazdek
łączonych szydełkowemi liśćmi i ściegiem koronkowym.

Maleńka gwiazdeczka szydełkowa o 6 listkach, stanowi środek każdéj frywolitowéj rozety. Na gwiazdeczkę odrabia się kółeczko z o. pow. spojonych z sobą, daléj robi * 1 śc. o., 4 sł., 1 ścisłe. Na listki robione ściegiem karbowanym zaczyna się 15 o. pow., robi tam i napowrót uważając aby listek zakończony był w ząbki jak to widać na rycinie 4, podług któréj każda z czytelniczek potrafi odrobić.

N. 5—7. Kosz na papiery.

Aplikacja i haft. Opis podany na arkuszu z krojami.

N. 8. Zastawka do świecy.

Opis i wzór na arkuszu z krojami.

N. 9—28. Ubrania balowe i kostjumowe.

N. 9. Kawaler z XVIII wieku. (Dworzanin francuzki.)

Bluza i pantalony z atłasu. Surdut i pas aksamitny ze złotym haftem; Pończochy, trzewiki z kokardami. Żabot z koronkami. Kapelusz trójgraniasty.

N. 10. Balowe ubranie z tuniką.

Ciężka jedwabna suknia złotawo różowego koloru; tunika suta i długa; garnirunki z wolantów z materjału sukni i tiulu jedwabnego tegoż koloru. Berta przybrana kosztowną białą koronką. We włosach i przy sukni dużo róż chińskich.

N. 11. Strój bogini zimy.

Suknia z białego atłasu lub kaszmiru, przystrojona w centki z białych piór lub puszku łabędziego Zwierzchnie ubranie z gazy albo kaszmiru stosownie przybrane.

N. 12. Ubranie z koronkowem okryciem.

Suknia z tuniką z ciężkiéj moire antique, przybrana koronkami, plisami i naszyciem ze sznura. Tunikę zakończa bogata frendzla. Chustka koronkowa zręcznie ułożona zastępuje domino.

N. 13. Kawaler z XVII wieku. Dworzanin hiszpański.

Kaftan atłasowy; pantalony i płaszcz hiszpański przytwierdzony do ramion z aksamitu czarnego. Kołnierz płócienny, pończochy do kolan, trzewiki z kokardami.

N. 14. Pokojówka ubrana à la Watteau.

N. 15. Dawny niemiecki patrycjusz.

N. 16. Duchowny francuzki: l'Abbé.

N. 17. Dama dworu z XVII stulecia.

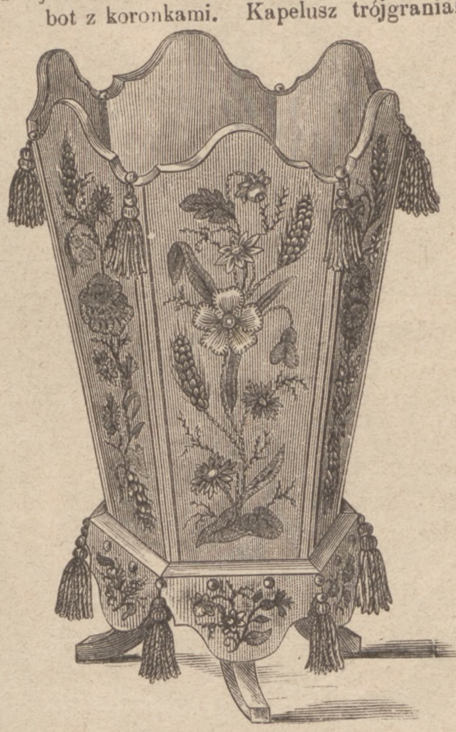
Suknia z białéj materji jedwabnéj w pasy, zwierzchnie ubranie atłasowe z galonami złotemi. Stanik przy sukni wycięty, bogato wyszywany na przodzie haftem złotym. Kapelusz wysoki z piórami.

N. 18. Dziewica róż.

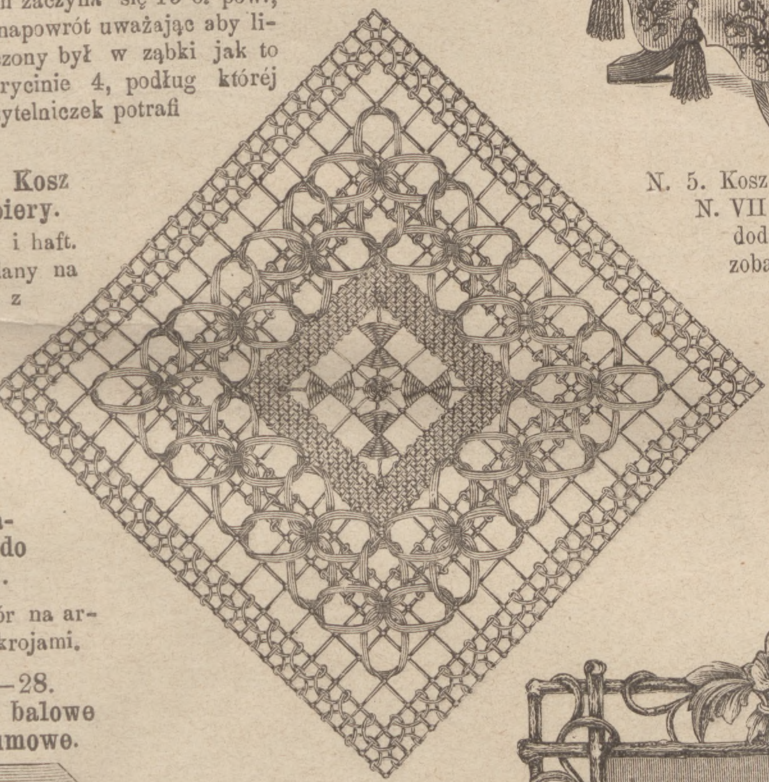
Różowa suknia jedwabna na czarnéj aksamitnéj, przystrojona różami i tiulowemi bufami. Woalka tiulowa formuje maskę.

N. 19. Bratek.

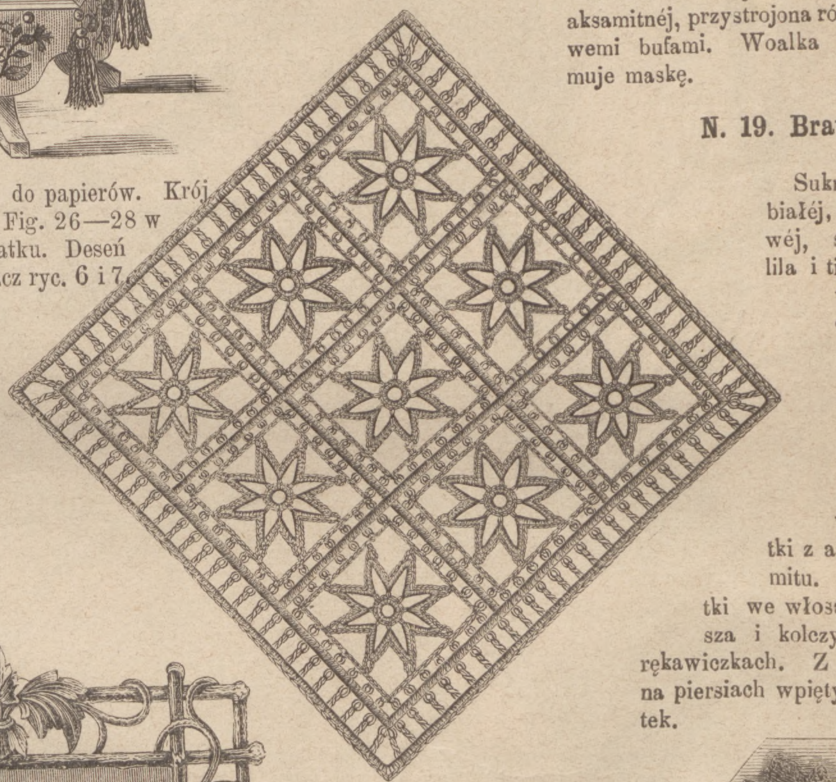
Suknia z gazy białéj, blado różowéj, szamoa albo lila i tiunika upięta w bufy; między garnirunkiem wpinane bratki z atłasu i aksamitu. Takież bratki we włosach jako brosza i kolczyki oraz przy rękawiczkach. Z przodu sukni na piersiach wpięty wielki bratek.



N. 5. Kosz do papierów. Krój N. VII Fig. 26—28 w dodatku. Deseń zobacz ryc. 6 i 7.



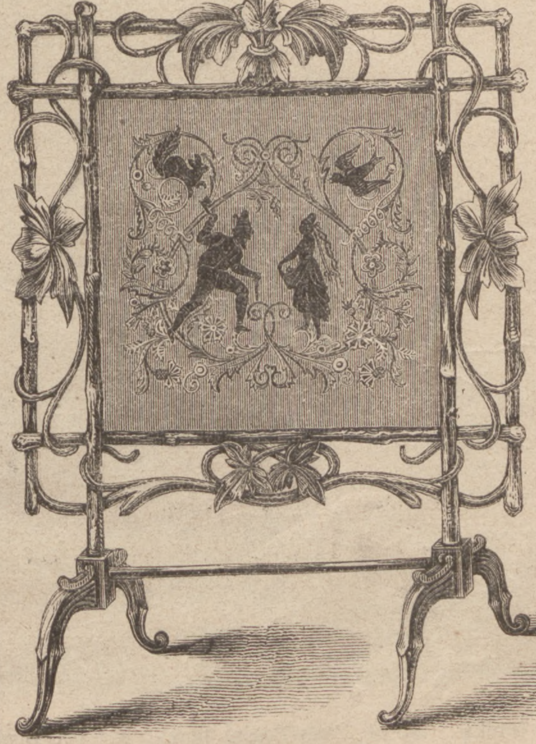
N. 1. Kwadrat siatkowy z poszyciem gipiurowem do serwetki na stolik ryc. 8 w N. 9 T. Mód.



N. 2. Kwadrat szydełkowy z plecionką mignardise do serwetki ryc. 8 w N. 9 Tyg. Mód.



N. 6. Deseń na lambrekinę do koszyka zobacz ryc. 5.



N. 8. Zastawka do świecy. Deseń i opis w dodatku.



N. 7. Deseń na lambrekinę do koszyka. Zob. ryc. 5.



N. 9. Kawaler dworu francuzkiego z XVIII wieku.

N. 10. Strój balowy z tuniką.

N. 11. Strój Bogini zimy.

N. 12. Domino z koronkowem okryciem.

N. 13. Kawaler dworu hiszpańskiego z XVII wieku.

N. 14. Subretka à la Watteau.

N. 15. Patrycjusz staroniemiecki.

N. 16. Duchowny francuzki (l'abbé).

N. 17. Dama dworu z XVII wieku.

N. 18. Suknia przybrana różami.

N. 19. Ubranie bratkami przystrojone

N. 20. Strój balowy.

N. 26. Suknia z tuniką w rzucik.

N. 21. Księżniczka egipska

N. 22. Sługa księżniczki egipskiéj.

N. 23. Ubranie mężkie w beduinie.

N. 24. Suknia czarna bareżowa

N. 25. Suknia tarlatanowa z wyciętym staniczkiem.

N. 27. Kostium rokoko.

N. 28. Strój dawny cesarzowéj niemieckiéj.

N. 20. Balowe ubranie.

Jadwabna suknia gładka; tunika w rzut tiulowa lub gazowa. Szelki i szarfy z ciężkiéj wstążki.

N. 21. Księżna egipska.

Suknia biała przepasana srebrnym paskiem. Kaftanik z pąsowego atłasu naszyty drogocennemi kamieniami. Na głowie welon z gazy „Donna Marja".

N. 22. Służąca egipska

niosąca za swoją panią wachlarz z długą rączką. Suknia niebieska tybetowa, zwierzchnie ubranie gazowe w pasy atłasowe.

N. 23. Arab, domino męzkie.

N. 24. Suknia czarna.

Gazowe vetément z podłużnym wykrojem; rękawki w bufy.

N. 25. Balowe ubranie.

ze stanikiem wyciętym. Suknia z tarlatanu z tuniką i szelkami; przybranie z kwiatów.

N. 26. Ubranie

balowe z tuniką i karoczkiem. Matowa jedwabna niebieska suknia, przybrana bufami z bla-



N. 29. Suknia z tuniką i karoczkiem dla małéj panienki. Krój N. I Fig. 1—9.

do zielonego tarlatanu i takiegoż koloru różami.

N. 27. Kostium rokoko.

Suknia w pasy, tunika z materji w bukiety. Kaftanik z odpowiedniéj jednokolorowéj materji, garnirowany koronkami. Kapelusz koronkowy z różami.

N. 28. Strój

starodawny niemieckiéj cesarzowéj.

Suknia biała jedwabna bogato haftowana. Płaszcz aksamitny karmazynowy gronostajami obłożony, spięty brylantowemi spinkami. Berecik aksamitny z koroną i długim welonem.

N. 29—31. Suknie

z tunikami i stanikami pod szyję dla młodych panienek.

Krój i opis na arkuszu z krojami.

N. 32. Szlak

na portjery, meble i t. p. robota na kanwie.

Na kanwie odpowiedniéj grubości, wyszywa się podany deseń włóczką angielską lub kastorową. Na naszym wzorze, do odrobienia arabesek, użyty jest cień orzechowy, z pięknym cieniem zielonym i domięszaniem kordonku maisowego. Do koloru orzechowego pasują i inne cienie jasne, byle tylko harmonijnie dobrane.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Budyń lub legumina pieczona z ryżu.



N. 31. Suknia z tuniką i karoczkiem dla małéj panienki. Krój N. I Fig. 1—9.

Proporcja: Pół funta ryżu, ośm lub dziesięć jaj, kwartę mleka, ćwierć funta masła młodego, ćwierć funta cukru miałkiego, ćwierć funta przebranych i opłukanych rodzenków bez pestek, cztery łuty słodkich migdałów siekanych, skórka cytrynowa obtarta na tarce lub cukrze.

Ryż sparzyć gorącą wodą, wymyć dobrze, włożyć w mleko, dodać odrobinkę soli i ugotować na gęsto; następnie wyłożyć na miskę dodać masła, cukru i dwa całe jajka. Gdy massa ostygnie dodać 8 żółtek ubitych, rodzenki, migdały, skórkę cytrynową, a naostatek pianę ubitą z 8 jaj, włożyć w serwetę do ugotowania lub w rondelek masłem wysmarowany do upieczenia.

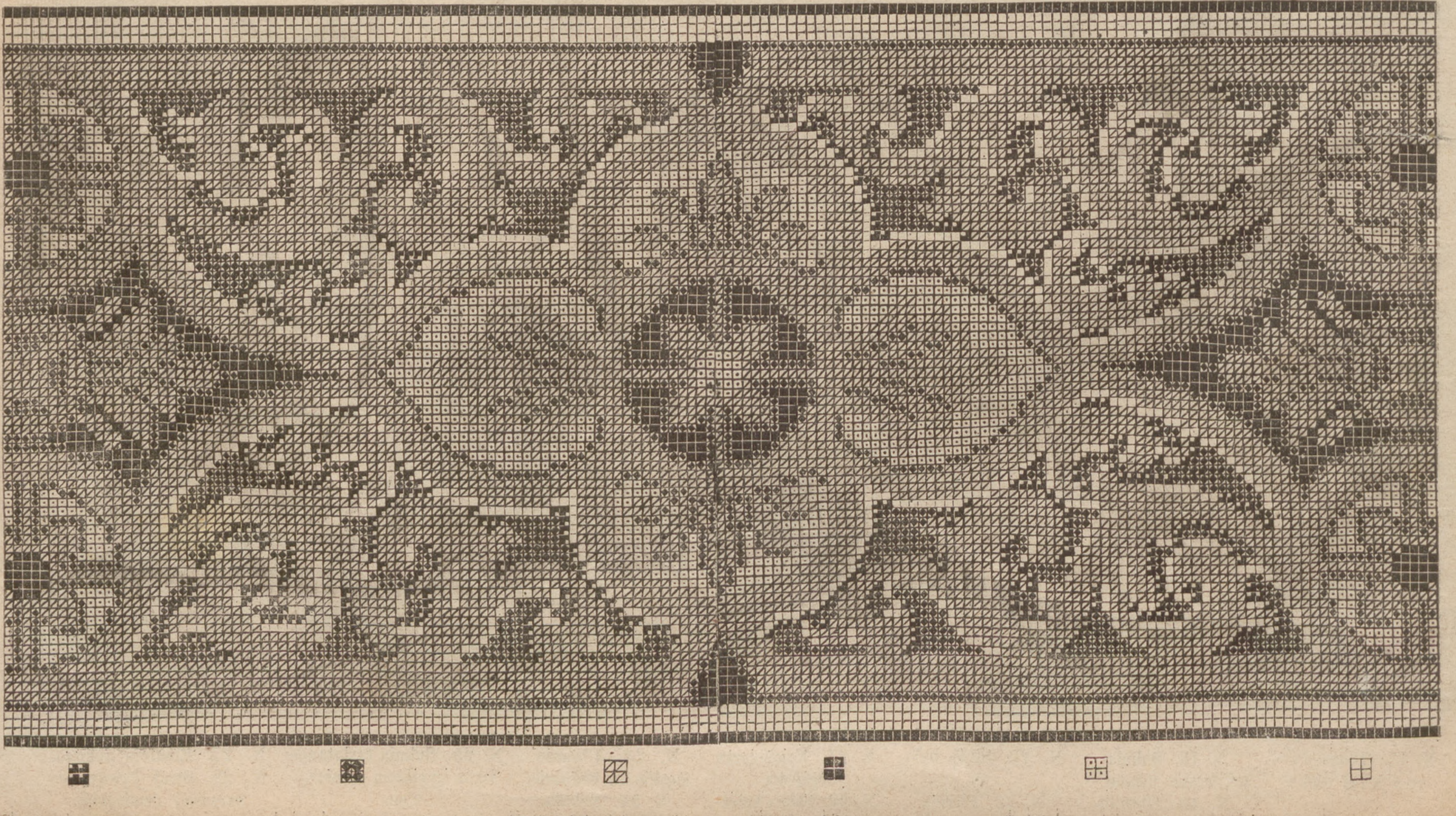
Serwetę trzeba najpierw w gorącéj wodzie z mydła wyprać, parę razy wypłukać, dobrze wyżąć, masłem wysmarować i bułeczką wysypać. Należy także zostawić miejsce na wyrośnięcie budyniu i dla tego o dwa cale nad massę związać serwetę i włożyć budyń do gotującéj się wody w obszernym rondlu.

W osobnym garnku trzeba mieć również wodę gotującą, aby budyń dolewać gdy się wygotuje.



N. 30. Suknia z tuniką dla panienki. Krój w dodatku N. I Fig. 1—9.

Do budyniu podaje się sos z wina, żółtkami i cukrem zaprawiony.



Ciemno brązowy. Jaśniejszy brązowy. Najjaśniejszy brązowy. Ciemno zielony. Jaśniejszy zielony. Jedwab żółto-maisowy.